

Paweł Stachecki
Konrad Wojciech Wróbel

Major Bronisław Deskur

przyjaciół i obrońca włościan

Deskurów 2016

Wybór tekstów:

Płk Związku Piłsudczyków **Konrad Wojciech Wróbel**

Projekt okładki:

Ks. ppłk Związku Piłsudczyków **Paweł Stachecki**

Wybór zdjęć:

Ks. ppłk Związku Piłsudczyków **Paweł Stachecki**

Zdjęcie na okładce:

Obchody 150 rocznicy Powstania Styczniowego.

Przemarsz przez Puszcę Białą – inscenizacja w 2013 roku

Copyright 2016 by Paweł Stachecki

Ks. Paweł Stachecki

Parafia zymskokaltolicka pw. św. Jana Chrzciciela w Brańszczyku

ISBN 978-83-62815-32-6

Wydawnictwo „Wieś Jutra”

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	7
Lata młodości.....	17
Pobyt na Ziemi Wyszowskiej	19
Działalność patriotyczna przed Powstaniem Styczniowym	20
Józef Piłsudski o majorze Bronisławie Deskurze.....	40
Udział w walkach powstańczych w Puszczy Białej.....	62
Bitwy stoczone w Powstaniu Styczniowym przez majora Bronisława Deskurę w Puszczy Białej.....	76
Życie na emigracji po Powstaniu Styczniowym	78
Rodzina Bronisława w pamięci potomnych.....	83
Moja droga do Deskurowa – Alojzy Skrobacki	83
Rodzina Pankowskich.....	98
Rodzina Tekli Kozłowskiej Rapackiej–Deskur	99
Zakończenie.....	105



uczeń szkoły elementarnej



uczeń gimnazjum



oficerowie wojsk rosyjskich



Dla moich wnuków

napisał

Bronisław Deskur



Drodzy Czytelnicy

Historia życia i walki majora Bronisława Deskura w obronie praw włościan znana jest z kilku opracowań. Nasza publikacja jest poświęcona pobytowi i działalności na Ziemi Wyszowskiej. Pragnęliśmy ukazać jego postać na tle przygotowań do Powstania Styczniowego.

Postać majora Bronisława Deskura zainteresowała również Marszałka Józefa Piłsudskiego. W książce pt. *Rok 1863* marszałek poświęca mu wiele uwagi. Szczegółowo kreśli jego postać w pierwszych dniach Powstania Styczniowego na Podlasiu.

Bronisław Deskur, mimo krótkiego pobytu w Niegowie, na stałe zapisał się w pamięci mieszkańców – naszych przodków.

Był założycielem wioski Deskurów.

W naszej skromnej publikacji pragniemy ukazać postać majora Bronisława Deskura jako dziedzica, działacza społecznego, patriotę, partyzanta – dowódcę szwadronu kawalerii powstańczej (80 jeźdźców w szwadronie), dziedzica który w swoich majątkach chciał przekazać chłopom ziemię kilka lat przed Powstaniem Styczniowym. W czasie powstania nie szczędził najcenniejszych wartości ludzkich: życia, zdrowia, szczęścia rodzinnego, majątku.

Bronisław Deskur w swoich pamiętnikach napisał znamienne słowa: „Człowiek się rodzi do życia, w którym ma sobie zdobyć stanowisko w społeczeństwie, nie przychodzi zaś na świat z gotową mitrą na głowie lub piętnem niewoli. Ten więc otrzymuje nazwę szlachetnego (co dawniejszymi czasy w tytuł rodowy przeszło) i staje na stanowisku przewodnim w hierarchii społecznej, kto swem osobistym postępowaniem zdobył sobie to miano. Szlachetność przeto jest wyłączną własnością jednostki, jej życiowych zasług moralnych i pracy, ale nie przechodzi w krew i kości jej potomstwa”.

Polscy psycholodzy podobny pogląd sformułowali w XX wieku, głosząc że „aktywność własna jest podstawowym czynnikiem rozwoju jednostki”. Dlatego możemy powiedzieć, że Bronisław Deskur wyprzedził swoimi poglądami epokę.

Podobnie marszałek Józef Piłsudski w myśl tej zasady unikał używania herbu rodowego (Kościeszka), natomiast wysoko cenił ludzi za osobiste osiągnięcia i działalność własną.

Powstanie niniejszej publikacji było możliwe, dzięki pomocy i życzliwości wielu osób, które zezwoliły nam na wykorzystanie materiałów i zdjęć rodzinnych. Pozwoliło to nam na barwniejsze ukazanie historii naszej „Małej Ojczyzny”.

Przedstawione w książce materiały zostały opracowane na podstawie:

- pamiętnika Bronisława Deskura pt. *Dla moich wnuków*, pierwszy raz wydany w 1892 roku we Lwowie, a w 2013 roku przez Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego we Włodawie,
- pracy Józefa Piłsudskiego pt. *22 stycznia 1863 – z cyklu Boje Polskie tom 1*, wydanej przez Wielkopolską Księgarnię Nakładową w Poznaniu w 1920 roku,
- opracowania Józefa Piłsudskiego pt. *Rok 1863* wydanej w 1989 roku przez Wydawnictwo „Książka i Wiedza”.

Wyrażamy nasze podziękowania:

- władzom miasta Wyszkowa na czele z burmistrzem – Grzegorzem Nowosielskim,
- władzom starostwa Wyszковского na czele ze starostą – Bogdanem Pągowskim,
- profesorowi, doktorowi habilitowanemu Alojzemu Skrobackiemu,
- profesorowi, doktorowi habilitowanemu Stanisławowi Białousz,
- Rafałowi Paryż – przedstawicielowi rodu Deskurów do kontaktów,
- mgr inż. Adzie Krzeczowskiej – Redaktor Naczelnej Wydawnictwa „Wieś Jutra” – za pomoc w wydaniu książki,
- Janowi i Mieczysławowi Pankowskim z rodzinami – darczyńcom placu pod pomnik,
- Pawłowi Robertowi Rudnik – za prace kamieniarskie,
- Janowi i Szymonowi Piórkowskim – za pomoc techniczną,
- Michałowi Pankowskiemu – za wykonanie fundamentu,
- Jerzemu Dąbrowskiemu – wykonawcy tablicy pamiątkowej,
- Grzegorzowi Turkowi – sołtysowi Deskurowa,
- ks. proboszczowi parafii Lucynów – Dariuszowi Niewęglowskiemu,
- ks. proboszczowi parafii Niegów – ks. Andrzej Rybicki,
- ks. proboszczowi parafii Rybienko Leśne – ks. Eugeniusz Leda,
- członkom Związku Piłsudczyków RP TPJP Okręg Nadbużański w Wyszkanie.

płk Związku Piłsudczyków Konrad Wojciech Wróbel
ks. ppłk Związku Piłsudczyków Paweł Stachecki



BRONISŁAW DESKUR

1835–1895

Major Powstania Styczniowego

Dziedzic Niegowa, majątku Horostyta

Założyciel Deskurowa na zasadzie oczyszczania włościan

Patriota – demokratą zwolennik uwłaszczenia włościan

Bohater walk Powstania Styczniowego w Puszczy Białej i na Podlasiu

GLORIA VICTIS

Wdzięczni mieszkańcy Deskurowa

oraz Związek Piłsudczyków RP Okręg Nadbużański w Wyszkowie

Deskurów, 26 czerwca 2016 r.

*Tablica wykonana według projektu płk. Związku Piłsudczyków RP TPJP
Okręg Nadbużański mgr. Konrada Wojciecha Wróbla*



*Tablica została wykonana według projektu płk. Związku Piłsudczyków RP TPJP
Okręg Nadbużański mgr. Konrada Wojciecha Wróbla*



W 150 rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego członkowie Związku Piłsudczyków RP upamiętnili miejsca bitew w Puszczy Białej kapliczkami. Kapliczka powstańcza w Łączce (gmina Długosiodło). Odstąpienia kapliczki dokonali: wójt gminy Długosiodło Stanisław Jastrzębski, prezes Związku Piłsudczyków Okręg Nadbużański w Wyszkowie płk Konrad Wróbel, Jan Piórkowski w stroju powstańca i przedstawiciel dzieci z Łączki



Pocztę sztandarową i kosynierzy oddali hołd powstańcom



*Przy kapliczce myśliwych na Przyjmach odbyły się modlitwy za powstańców
styczniowych poległych na terenie parafii Brańszczyk
(kapelan Związku Piłsudczyków Okręgu Nadbużańskiego ks. ppłk Paweł Stachecki)*



*Obchody 150 rocznicy Powstania Styczniowego.
Przemarsz przez Puszcę Białą (inscenizacja w 2013 roku)*



Piłsudczycy przed grobem Matki Marszałka w Wilnie



*Piłsudczycy na Ziemi Litewskiej – przed kościołem w Powiewiórkach,
gdzie został ochrzczony Marszałek*



Piłsudscy na spotkaniu z dziećmi z Polskiego Domu Dziecka na Litwie



Piłsudscy w Wiedniu na Kahlenbergu



*Piłsudczycy przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego
na terenie Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie*



Piłsudczycy w Zułowie, miejscu urodzin Marszałka

LATA MŁODZIEŃCZE

Bronisław Deskur, dzięki aktywnemu udziałowi w powstaniu styczniowym, przeszedł do historii. Dużo miejsca poświęcił mu Józef Piłsudski w pracy pt. *22 stycznia 1863 – z cyklu Boje Polskie tom 1* wydanej w 1920 roku. Traktuje o nim obowiązujący przed II wojną światową podręcznik do historii dla VI klasy powszechnej. Pozostawił pamiętniki opublikowane w 1892 roku we Lwowie, które często są cytowane w opracowaniach historycznych powstania z 1863 roku. Pamiętniki pisał już w podeszłym wieku i jak sam podkreśla, nie mógł korzystać ze źródeł historycznych, dlatego nie zawsze są one ścisłe, zwłaszcza w opisie historii rodziny. Pamiętniki zatytułowane *Dla moich wnuków* wydane jego nakładem we Lwowie w 1892 roku zawierają wiele patriotycznych wskazań.

Bronisław urodził się 17 października 1835 roku w Warszawie. W pamiętnikach nie wspomina wiele o swoich młodych latach. Jak pisze jego wnuk Jan, Bronisław szkołę powszechną kończył w Łukowie. Brakuje wiadomości, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Szkoły w Łukowie zostały zamknięte po 1838 roku, więc prawdopodobnie dalszą naukę pobierał w Warszawie i tam skończył Szkołę Agronomiczną. W 1849 roku, jak donosiła w liście z 21 listopada mężowi Barbara (matka): „Bronisławek dobrze się uczy, lubią go nauczyciele i koledzy kochają, tak Profesor pisze Bardzo za to Bogu dziękuję”. Nie jest wykluczone, że była to opinia profesora Bartoszewicza, u którego, jak sam Bronisław pisał „kończąc edukację przez rok mieszkałem”.

Stryj Andrzej zapisał Bronisławowi majątek Opozdrzew, który wcześniej stanowił w części lub w całości wiano Salomei z Opackich. Nie wiemy, czy Bronisław nim przez pewien czas zarządzał, w każdym razie państwo Bronisławowie – bo ożenił się on około 1855 roku ze swoją cioteczną siostrą Teklą z Bobrownickich – mieszkali we własnym majątku Niegów położonym koło Warszawy. W pamiętnikach o tym Bronisław nie wspominał, ale bezspornym dowodem na to jest metryka śmierci z 3 marca 1859 roku zmarłej w wieku 2 lat prawdopodobnie ich pierworodnej córki Bronisławy. Była to niewątpliwie ich wielka tragedia. W okresie pobytu w Niegowie Bronisław założył nową wioskę, rekrutującą się z mieszkańców przybyłych z drugiej strony Bugu, których osadził na zasadzie oczynszowania. Miejscowość ta – zresztą istniejąca do dziś nazywa się Deskurów. W 1859 roku państwo Bronisławowie mieszkali w miejscowości Głuche Laskowy, należącej przedtem do Norwidów, gdzie urodził się Cyprian.

W maju 1860 roku Bronisław nabył majątek Horostysta koło Włodawy o areale około 2000 ha, łącznie z gruntami włościańskimi. Prawdopodobnie uprzednio sprzedął Niegów. Od tego momentu pamiętniki rejestrują szczegółowo kolejno następujące zdarzenia.

HISTORIA RODZINY DESKURÓW

Z pamiętnika Bronisława Deskura pt. Dla moich wnuków

W roku 1846 bierze udział w powstaniu mój brat Andrzej Deskur, a w 1863 r. tenże Andrzej powtórnie zostaje wysłany na Sybir. Synowie Józefa, oficera z 1831 r., Józef i Kazimierz biorą także udział w powstaniu 1863 r. Widzicie więc, kochane wnuki, że z naszej rodziny każde pokolenie służyło jak mogło sprawie ojczystej, na was więc spada ten sam obowiązek. Pamiętajcie, abyście nie opuścili żadnej sposobności służenia waszej Ojczyźnie.

Postępując roztropnie, winniście dać mienie i krew waszą na pożytek i ofiarę społeczeństwa, którego stanowicie ogniwo, tego domaga się od was miłość, którą powinniście dochować ziemi, na której zrodziliście się, gdzie kości przodków naszych spoczywają a pamięć ich świeci wam dobrym przykładem (wierni słowom B. Deskura oddali ten kawałek ziemi na pożytek wspólny społeczności). Wierzajcie mi, że człowiek bez ideału, człowiek, który kochać i poświęcać się dla drugich w potrzebie nie potrafi, to martwe ciało, w którym dusza śpi, a życie tylko zwierzęce, taki człowiek to pasożyt, to polip na zdrowym ciele narodu, który usunąć należy, aby nie gnoił zdrowych soków społeczeństwa naszego.

Opowiadanie moje odnosić się będzie prawie wyłącznie do województwa podlaskiego, ziemi mojej rodzinnej, na której wzrosłem, gdzie tradycyjnie przechowane dzieje powstań od czasu najazdu Moskwy, opowiadane przez starszych, budziły młodą moją wyobraźnię o obowiązkach Polaka i uczucie czci dla tych, którzy chcąc wywalczyć niepodległość Polsce, ginęli od najeźdźców w otwartym boju, na szubienicach, lub w kopalniach Sybiru.

Na początku mego opowiadania skreślę wam choć w krótkości niektóre wypadki z dziejów porozbiorowych na Podlasiu, a odnoszących się szczególnie do 1846 r., których dzieckiem będąc byłem świadkiem, następnie opowiadać będę wam o powstaniu 1863 r., w którym osobiście brałem udział. Pisać będę

to tylko, co dobrze pamiętam, ponieważ podręczników nie mam, które by mi przypomniały miejscowości i nazwiska ludzi, jak również daty dokładne.

Gdyby ktoś piszący historii ostatnich powstań naszych, zechciał skorzystać, z zebranych tu faktów, zapewnił go mogę, że są opowiadane z całą sumiennością naocznego świadka 1846 roku i współuczestnika powstania 1863 r.

POBYT NA ZIEMI WYSZKOWSKIEJ

Wioska Deskurów w świadomości mieszkańców okolicznych wiosek wzbudzała zawsze zainteresowanie. Wielu interpretowało nazwę w dowolny sposób. Starsi mieszkańcy Deskurowa znali historię założenia wioski. Młodzi sporadycznie pytali o odległą dla nich historię. Wśród mieszkańców Deskurowa krążyły opowiadania o 13 osadnikach, którzy otrzymali od dziedzica Bronisława Deskura 1-włókowe gospodarstwa (po około 18 ha).

W pamięci starszych mieszkańców najbardziej znani, pierwsi mieszkańcy Deskurowa to: (1) Bartłomiej Szykowski, (2) Antoni Oleksiak, (3) Józef Wilczyński, (4) Jan Reniewicz, (5) Marian Gawlik, (6) Jan Pankowski, (7) Józef Gąsior, (8) Antoni Paż, (9) Jan Skoczeń, (10) Józef Nowak, (11) Marian Frąckiewicz, (12) Jan Woźniak, (13) Władysław Młynarski.

W czasie prelekcji w szkole w Lucynowie, poświęconej Powstaniu Styczniowemu w Puszczy Białej, jedna z uczennic w czasie opowiadania o majorze Bronisławie Deskurze wspomniała, że babcia opowiadała jej o Panu Deskurze. Ta informacja skłaniała do rozpoczęcia poszukiwań ludzi, którzy mają wiedzę zachowaną w przekazach rodzinnych o tym ciekawym człowieku – o majorze Bronisławie Deskurze i jego pobycie na tym terenie. Dostępne były wiadomości z kilku opracowań o działalności majora Deskura w czasie powstania styczniowego. Józef Piłsudski także ciekawie przedstawił jego postać jako dziedzica majątku Horostysta, a także opisał atak jego oddziału powstańczego na garnizon rosyjski w Radzynie.

Przypadek sprawił, że do Okręgu Nadbużańskiego Związku Piłsudczyków RP TPJP w Wyszkanie zapisał się Wiesław Pankowski, rodzinnie związany z Deskurowem, potomek Jana Pankowskiego. On również poszukiwał informacji o majorze B. Deskurze.

W 150. rocznicę Powstania Styczniowego w ramach działalności Związku Piłsudczyków RP postanowiono upamiętnić miejsca bitew powstańczych w Puszczy Białej kapliczkami powstańczymi i ryngrafami nawiązującymi do tradycji powstańczej. Ryngrafy wręczaliśmy w czasie nabożeństw patriotycznych w świątyniach związanych z działalnością powstańczą. W ten sposób realizowaliśmy testament marszałka Józefa Piłsudskiego zawarty w słowach: „Chcę, żeby groby przemówiły”.

DZIAŁALNOŚĆ PATRIOTYCZNA PRZED POWSTANIEM STYCZNIOWYM

Z pamiętnika Bronisława Deskura pt. Dla moich wnuków

Pierwszy zawiązek organizacji powstańczej powstał w naszym województwie w Białej. Utworzono komitet tak zwany półwojewódzki, do którego należały powiaty północne województwa podlaskiego. Do komitetu weszli: Wilkoszewski, dyrektor domu handlowo–rolniczego z Białej, ksiądz Starkiewicz, katecheta szkół Bialskich, unita, L. i ja. Wybrano mnie podwojewódzkim i włożono obowiązek porozumienia się z przewodcami partii ruchu w Warszawie. W południowej zaś części województwa byli czynni Gustaw Zakrzewski i Edward Lisikiewicz, akademik Kijowski.

Zadaniem zawiązanej organizacji było: rozbudzenie ducha narodowego między ludem, obliczenie ludzi, na których w danej chwili liczyć by można było, przygotowanie pojedynczych jednostek do myśli przewodniej komitetu, to jest do propagandy powstańczej, urządzanie manifestacji po miastach, gromadzenie na odpusty ludu w celu propagandy, do którego zacni kapłani nasi przemawiali gorąco w duchu patriotycznym.

Zebranie ludu jedno z najliczniejszych było w dniu św. Jozafata, którego ciało spoczywało u oo. Bazylianów w Białej na Podlasiu (jak wiadomo, zamordowanego przez Moskali). Sześć tysięcy włościan Rusinów i Polaków było zgromadzonych, manifestując przez usta kapłanów Rusinów i Polaków serdeczny bratni węzeł, jaki ich łączył w obronie praw obu tych szczepów, stanowiących jedną całość Rzeczypospolitej. Kazania i przemowy odbywały się w cieniu wspaniałych lip, okalających klasztor Bazylianów. Lud ruski i polski łzami oblewał grób św. Męczennika za wiarę unicką ruską (ciało św. Jozafata

podczas prześladowania Unii na Podlasiu kilka lat temu, Moskale po kryjomu w nocy zabrali i nie wiadomo, co z nim zrobili, jak również wiele kosztownych wot, złożonych na ołtarzu świętego). Między księżmi odznaczali się pracą nad ludem bracia Rusini, a w szczególności: całe rodziny Harłampowiczów (ojciec ich, dziekan, wywieziony na Sybir), Malczyńskich, Telakowskich, Wasilewskich, Szulakiewiczów, Mazanowskich, Mickiewiczów i wielu innych zacnych Rusinów, których nazwisk historia nie powinna zapomnieć; dziś wszyscy oni wygnańcami, bo nie chcieli się zmoskwicić. Czuli to dobrze, że związani obrządkiem religijnym z Moskwą, dopomogą do wynarodowienia ludu, do zmoskwicenia go. Wyrzekli się zatem interesów własnych, prześladowani, woleli ginąć w nędzy (jak to na bratniej Rusi w Galicji z niejednym się stało) niż ugiąć się pod przemocą i dźwigać ciężar piętna niewoli ducha i uczuć.

Z pomiędzy księży obrządku łacińskiego wyróżniali się dwaj księża Pijarzy z Łukowa, Brzózka (późniejszy naczelnik oddziału, powieszony przez Moskali) i Adam Słotwiński, ksiądz Grzegorzówka i Likendorf, Dominikanin, obydwoj ostatni później kapelani w oddziałach powstańczych. Grzegorzówka poległ w oddziale Lelewela (Borelowskiego).

Po wypadkach 8 kwietnia 1861 r. w Warszawie, Teodor Jasieński zastał wysłany z województwa Podlaskiego dla porozumienia się z organizującymi się podówczas różnymi kółkami młodzieży warszawskiej i ułożenia terminu na zjazd delegatów z innych województw i miasta Warszawy, na którym miał być omówionym szerszy plan organizacji. Zjazd ten został naznaczony na dzień 15. maja 1861 r. i miał się odbyć u mnie w Horostycie. Wypadki kwietniowe dołały oliwy do ognia, nowe mordy na ulicach Warszawy rozdmuchały zarzewie powstania. Zakipiało w całym kraju, nawet „biali” poczęli szemrać, a krew niewinnych zaciężyła im na sercu.

W początkach maja (dnia dokładnie nie pamiętam) byłem w Rozwadowie u Jasieńskiego, gdzie zjechało kilku obywateli z sąsiedztwa, między nimi przyjechał Tadeusz E., ówczesny delegat Dyrekcji Białych w Warszawie i ten oświadczył mi, że był w Horostycie, ale dowiedziawszy się, że jestem u Jasieńskiego, tu za mną przyjechał. Wyszliśmy z nim na naradę do drugiego pokoju, gdzie wręczył mi nominację na starostę włodawskiego, tudzież odezwę i instrukcję od hr. Andrzeja Zamojskiego, dodając, iż hr. Andrzej Zamojski jest przekonany, że tak ja, jak całe nasze kółko połączymy się z organizacją powstańczą w duchu odezwę i instrukcji, jaką hr. Andrzej kazał mi wręczyć. E. tłumacząc się, że musi spieszyć do innych okręgów

województwa podążyć, odjechał. Jaka była pieczęć na rzeczonych papierach, nie pamiętam, odezwa i instrukcja były litografowane. Znaną była wszystkim oględność i refleksja w postępowaniu pana Andrzeja. Odezwa więc i instrukcja powstańcza objawiły się jak błyskawica, która olśniła nas nadzieją potężnej organizacji, o którą z takim mozolem bez środków pieniężnych dostatecznych dobijaliśmy się.

Odezwa zalecała przygotowania zbrojne przeciw najazdowi, który depce nasze prawa i kąpie się we krwi niewinnych, była tam mowa także o zupełnym uwłaszczeniu włościan bez wynagrodzenia z ich strony. Instrukcja nakazywała zbierać pieniądze początkowo przez dobrowolne ofiary, spisywanie ludzi zdolnych do broni, obliczenie broni myśliwskiej oraz koni pod kawalerię itp. Znany był wpływ na całą szlachtę pana Zamoyskiego, jego słowo było wyrocznią, nikt nie śmiał oponować jego rozkazowi, każdy poddawał się z całym zaufaniem rozporządzeniom jego. Czytaliśmy z Teodorem Jasieńskim po kilka razy odezwę i instrukcję i nie wierzyliśmy własnym oczom. Zdawało się nam, że już Moskali nie ma, że zarzuciliśmy ich czapkami. Radość nasza była nie do opisania. Robiliśmy sobie wyrzuty, że śmieliśmy wątpić kiedykolwiek o energii i dzielności człowieka, który w chwili stanowczej potrafił w duchu wielkich swych przodków z całą potęgą miłości ojczyzny stanąć na czele narodu. Nie pozostawało więc jak zająć się najenergiczniej tem, co instrukcja poleciła do zrobienia.

Gdziem tylko przedstawił moją nominację w domach zamożnej i mniej zamożnej szlachty i mieszczan, przyjmowano mnie z otwartymi rękoma i zupełną gotowością wykonania rozporządzeń rzeczonej instrukcji. Wszyscy gotowi byli oddać mienie swoje i synów swych pod sztandar narodowy, który dzierżył ulubieniec wszystkich warstw społeczeństwa polskiego na całym obszarze Rzeczypospolitej. Pan Andrzej Zamoyski był Beniaminkiem narodowym, on jeden z panów naszych naówczas zajmował się potrzebami kraju, i co można było w tym kierunku zrobić drogą legalną, robił. Zawiązanie Towarzystwa rolniczego jemu zawdzięczamy, on nie wielkie swoje kapitały umieścił w kraju, wkładając je w przemysł krajowy jak: Żegluga parowa na Wiśle, fabryki maszyn itp. Zwrócone więc były oczy wszystkich na jednego człowieka, który coś robił dla kraju. Panom zaś imponował Zamoyski swym wpływem, jaki miał we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego, na całym obszarze Polski.

Piętnastego maja na naznaczony zjazd do Horostyty przyjechali delegowani z Warszawy, od stronnictwa ruchu: Stanisław Szachowski, uczeń Szkoły Sztuk Pięknych (obecnie profesor prawa na Wszechnicy Lwowskiej), Wiśniewski, student Szkoły Agronomicznej, Wołyniak (brat Leonarda Wiśniewskiego, obecnie dyrektor kopalni w Borystawiu).

Nieznana im była ani odezwa ani instrukcja pana Zamoyskiego, przedstawiłem im jakąś drugą, jak również moje nominacje, a że zadaniem naszym nie było nic więcej do czynienia na razie jak to, co instrukcja opiewała, uznaliśmy, że byłoby nonsensem nie łączyć się z tak potężnym sprzymierzeńcem. Wyjechali więc delegaci, ażeby w Warszawie dojść do źródła tej roboty i połączyć się, a raczej przejść pod rozkazy pana Andrzeja Zamoyskiego.

Wkrótce, bo nie dalej jak w tydzień po zjeździe delegatów, spotkałem się z E., wysłańcem Pana Andrzeja w Lublinie, który mi oświadczył, że się właśnie wybierał do mnie, aby cofnąć dane rozporządzenie, ponieważ wobec tego, że jest zupełna pewność otrzymania drogą legalną wiele od rządu dla kraju, nie możemy ryzykować w nierównej walce losów całego narodu. Oburzenie moje nie miało granic, nie szczędząc słów prawdy, powiedziałem E., że się nie godzi tak postępować, że takie fajerwerki uchodzą dzieciom, a nie ludziom poważnym, którzy musieli się zastanowić nad tem, co robią, że wcale nie myślę się cofać; a ponieważ powiedział mi E., abym się porozumiał z komite-tem dyrekcyj białych, który na nowo w naszym okręgu zaczął funkcjonować, oświadczyłem mu, że składam dany mi mandat przez pana Zamoyskiego w jego ręce i dalej robić będę jak sumienie i przekonanie nakazują.

Organizacja powstańcza Pana Andrzeja trwała trzy tygodnie. Czy Pan Zamoyski nie znał swej siły, czy też uląkł się wielkości zadania, jakie miał do spełnienia, trudno zrozumieć, to tylko pewne, że gdyby stanął na czele ruchu narodowego powstałby cały naród jak jeden mąż. Usunięcie się zatem od czynu pana Zamoyskiego, pomimo całych jego zasług, jest nie do darowania i nie da się niczym innym wytłumaczyć, jak tylko słabością charakteru tego człowieka.

Jak to wyżej wspominałem, zorganizowany był komitet półwójewódzki w Białej, który po zerwaniu stosunków z panem hrabią podjął na nowo pracę organizacyjną w duchu naszych zapatrywań, mających na celu przygotowania do powstania Nie chcąc odrębnej formy organizacyjnej, jaka by mogła być przyjętą w całym kraju, wybrałem się z Jasieńskim do Warszawy, gdzie byliśmy u Karola Majewskiego, naówczas jednej z najwybitniejszych jednostek

partii ruchu; zawiodły nas jednak nadzieje otrzymania jakichkolwiek instrukcji co do organizacji, ogólnie mogącej się przyjąć w kraju. Pan Karol dużo bardzo mówił, ale z tego, co powiedział, nie widzieliśmy jasno wytkniętego programu. Wróciliśmy do domu, nie zbudowawszy się wcale organizacją warszawską, gdzie każdy na swoją rękę projektował i organizował, a nie było jeszcze nikogo, kto by nadał ład rozburzonemu żywiołowi.

Upłynęło kilka miesięcy od ostatniej naszej bytności w Warszawie, kiedy doszła nas dopiero wiadomość, że się zorganizował komitet partii ruchu. Wysłano mnie powtórnie do Warszawy. Trzeba jednak, żeby się tak złożyło, że trafił na drugi dzień rano po strzale do księcia Konstantego, który miał miejsce wieczorem dnia uprzedniego. Miałem adres do Ignacego Chmielińskiego, jako członka pomienionego komitetu; przyjechawszy rano 4. lipca 1862 r. do Warszawy, udałem się wprost pod wskazanym adresem do hotelu Saskiego pod nr 46, na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Chmieliński. Pomimo dłuższego pukania do drzwi, nikt mi nie odpowiadał. Zeszedłem więc na dół do zarządcy hotelu, którego znałem, gdzie dowiedziałem się o zdarzeniu zeszłego wieczora i ucieczce Chmielińskiego, przy czym powiedział mi rządca, że nie pojmuje, jak mi się udało uniknąć aresztowania przy drzwiach Chmielińskiego, bo policja stoi na dole, a agent policyjny kręci się po korytarzu pierwszego piętra, aby zgłaszających się do Chmielińskiego aresztować. Wyszedłszy na dziedziniec hotelowy, spotkałem się z Julianem Wereszczyńskim, kolegą moim szkolnym. Był on, jak się później dowiedziałem, członkiem komitetu, którego szukałem (Wereszczyński zginął w pierwszych dniach powstania w Kaliskiem jako komisarz Woj. Kal.). Wereszczyńskiemu opowiedziałem o celu mego przybycia do Warszawy, a ten, wzięwszy mój adres, upewnił mnie, że za chwilę przyśle mi agenta komitetu, którego zna, a który zastąpi Chmielińskiego i poinformuje mnie o wszystkim. W istocie nie za długo zjawił się do hotelu Smolińskiego, gdzie stanąłem, młody człowiek w okularach z paką papierów, wyglądających z bocznej kieszeni surduta. Był to inżynier Bronisław Szwarz, niesłychanej dzielności i energii, który brawurą swą i śmiałością w postępowaniu nie poddawał się w podejrzenie policji. Papierami, wyglądającymi z kieszeni, była paczka odezw i instrukcji, które rozłożył przede mną. Jędrność w zdaniu Bronisława, jasno wytknięty cel organizacji, przekonały mnie, że komitet pojmuje swe zadanie, że robota wchodzi na pewne i poważne tory. Powróciłem więc do Województwa, wioząc odezwę, plan organizacji i rotę przysięgi.



Mapa lokalizacji Deskurowa w gminie Wyszaków



Dwór w Niegowie – stan obecny



Dwór w Głuchach Laskowych



Kościół w Niegowie



Zagroda wiejska z czasów Powstania Styczniowego w okolicy Deskurowa





Zabudowania chłopskie w Deskurowie



Stodoła i fragment sadu – dom rodzinny Sykulskich



Dom rodzinny Sykulskich



*Węty ścian domów
łączono na „jaskótczy ogon”
– obecny wygląd domu*



Grób Brońci



Dąb, przy którym stanie tablica upamiętniająca majora Bronisława Deskura

W parę tygodni później, w końcu lipca czy na początku sierpnia, Teodor Jasieński pojechał do Warszawy, gdzie się już zetknął z członkami komitetu centralnego, skąd przywiózł nominację dla siebie na wojewódzkiego Podlaskiego. Jak on mnie, tak ja jemu pomagałem teraz jak mogłem. Województwo w dwa tygodnie zostało zorganizowane. Naczelnicy powiatów i naczelnicy większych miasteczek w Województwie, mianowani. Zaprzysiężenie szło rażno. Komitet centralny potrzebował pieniędzy. Teodor Jasieński postarał się o wydobycie kapitału żelaznego naszego okręgu, który około 6 tys. zł p. wynosił, a był złożony u Rocha Jasieńskiego, stryja Teodora, który był prezesem koła rolniczego okręgowego. Jak to poprzednio opisałem, trzeba było większej połowy podpisów stowarzyszonych, aby kapitał podnieść, o zwołanie zgromadzenia członków w tym celu nie było mowy, bo prowodyry organizacji dykcji białych nie dopuściliby do podniesienia kapitału. Trzeba więc było wziąć się na fortel; objechaliśmy patriotyczniejszą szlachtę, należącą do koła, a Teodor Jasieński tak potrafił przemówić każdemu do serca, że zebraliśmy potrzebną ilość podpisów i kapitał żelazny podnieśli.

Co się działo na pierwszym posiedzeniu koła okręgowego dykcji białych, to każdy zrozumie, kto zna arbitralne postępowanie przywódców w kołach szlacheckich. Wściekali się oni na niekarność towarzyszy, zarzucając zdradę partii, której zobowiązali się nie odstępować. Akt jednak podniesienia depozytu był formalny i podpisany przez większość, a pieniądze w naszym ręku.

Teodor Jasieński wziął pieniądze z kapitału żelaznego i te, jakie były zebrane podczas organizacji Zamoyskiego, co razem do 14 tysięcy zł p. wynosiło i odwiózł komitetowi centralnemu. Zdaje się, była to pierwsza większa kwota, jaką komitet centralny z prowincji otrzymał.

Zjazdy i posiedzenia Dykcji białych odbywały się prawie co tydzień, a ponieważ zaliczaliśmy się, jako członkowie towarzystwa rolniczego do tej organizacji, staraliśmy się nie opuszczać posiedzeń, chociaż przychodziło często do żywych starć na zebraniu z białymi; szło nam także i o to, aby wiedzieć o czynności dykcji w województwie. Unikaliśmy dysput, które do niczego nie prowadziły, zmuszeni jednak byliśmy odpowiadać na demoralizujące przemówienia przywódców białych, którzy szlachtę bałamucili. Raz pamiętam Kazimierz Bogdanowicz, z naszego kółka, dowodząc konieczności przygotowywania się do powstania, które okaże się nieuniknionym, otrzymał od jednego z półpanków odpowiedź tej treści: „Pan nie masz prawa, jako jakiś lichy dzierżawca, decydować o losie całego narodu, bardzo łatwo poświęcać

to, czego się nie ma, ale wara rozporządzać się tym, co zasługą w kraju i wiekami zdobyły sobie rodziny, rujnować je materialnie przez zaburzenia, które w mętnej wodzie niektórym ryby łapać pozwolą” (syn owego pana później zginął w powstaniu).

Dotknął nas do żywego ów półpanek i nie pozostało nic, jak wyjść z posiedzenia manifestacyjnie, co też i wielu z obecnej szlachty nienależącej do naszego grona uczyniło. Bogdanowicz jednak ze spokojem (który nie był mu wrodzonym) odpowiedział: „Mam życie, to do mnie należy i to złożę na ołtarzu Ojczyzny. Mówisz pan, że będę łapał ryby w mętnej wodzie, uprzedzili mnie już twoi przodkowie panie, obdzierając Polskę przy każdej sposobności i sprzedając ją (Kazimierz Bogdanowicz na początku powstania był dowódcą oddziału, schwytany jako jeńiec w czasie bitwy, został rozstrzelany przez Moskwę w Lublinie). Nietakt panów naszych o jakim już wspomniałem powyżej, odstręczał od nich i robił niemożliwym zbliżenie się tych dwóch partyi.

Rozgłos reform, jakie miały nastąpić i koncesji ze strony rządu narobił wiele wrzawy. Organizacja białych krzątała się, aby usposobić przychylnie szlachtę do przyjęcia tychże, a tem samem osłabić działalność partii ruchu. My nie widzieliśmy zbawienia w koncesjach, jakie nam robiono, takich, jak rady powiatowe, które, jak to wyżej powiedziałem, miały na celu uśpić energię ruchliwszych, porobić z nas urzędników honorowych rządu, których miało być obowiązkiem: nakładać na kraj ciężary, bez możliwości decydowania o potrzebach koniecznych ludności. Nie dosyć na tym. Wyraźnie zaznaczono ze strony rządu odrębność Kongresówki od Litwy i Rusi, które to prowincje, nawet tych bawidełek dostać nie miały, bo Moskwa uważała je za kraj czysto rosyjski. Jątrzyło to niesłuchanie uczucia narodowe. Z partii ruchu nikt nie chciał słyszeć o przyjmowaniu jakichkolwiek koncesji bez współudziału Litwy i Rusi. Nawet p. Andrzej Zamoyski miał oświadczyć się z tym wyraźnie, że jeżeli mamy ginąć, to razem, ale nie wyrzekniemy się braci naszych i żadnych ustępstw bez współudziału Litwy i Rusi nie przyjmujemy. Niestety pan Andrzej Zamoyski wezwany w tym czasie do Petersburga, został wkrótce wypędzonym za granicę.

Organizacja białych widząc, że natarli na silną opozycję w przyjęciu mniemanych dobrodziejstw, starała się wszelkimi sposobami pozyskać szlachtę z partii ruchu. Po dość żywej dyskusji na jednym z posiedzeń partii białych, gdzie się ostatecznie zawahali ci ostatni, co robić z przyjęciem reform, miałem zaszczyt być wybranym na propozycję pana Augusta Zamoyskiego z Różanki, tak zwanym mężem zaufania. Polecono mi jechać do Warszawy i zasięgnąć

radę pana Józefa Kraszewskiego, jak on się na przyjęcie rad powiatowych zapatruje, jakie są zdania kół wpływowych pod tym względem w Warszawie. Nietajne było tym panom moje zapatrywanie co do wszelkich łask moskiewskich. Nie mogłem jednak uchylić się od obowiązku, który na mnie włożono, zwłaszcza, że to nie krępowało zupełnie mego osobistego zdania.

Przyjechawszy do Warszawy, udałem się do Pana Józefa Kraszewskiego i oświadczyłem mu, że obywatele naszego okręgu z całym zaufaniem udają się do pana o radę, jak sobie postąpić z przyjęciem rad powiatowych; zresztą, mieszkając w stolicy, zna pan lepiej od nas opinię ludzi wpływowych, czy są za, czy przeciw przyjęciu. Pan Józef powiedział mi, że jego zdaniem koncesje, które rząd robi są wyciśnięte pod presją opinii niektórych państw, a co daje Moskwa ani korzyści, ani straty nam nie przyniesie. W Warszawie właśnie teraz odbywają się wybory w jednym z cyrkulów, jaki będzie rezultat, nie wiem, słyszę tylko, że są bardzo burzliwe. Dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nic nie można, czy możemy żądać więcej, czy poprzestać na tem, co dają. Nie byłem po to posłany, żebym dysputował w tej mierze, przyjąłem zatem do wiadomości, com słyszał. Odpowiedź pana Józefa Kraszewskiego była wymijająca. Wróciwszy do domu, zdałem sprawę z mego posłannictwa, powtarzając dosłownie, com słyszał, przy czym objawiłem moje zdanie, że odpowiedź p. J. Kraszewskiego wyraża niepewność własnego zdania co do polityki, jakiej się obecnie wobec Moskwy trzymać mamy; chcieliśmy zrobić z niego polityka, a jak zauważyłem, on wcale do tego pretensji nie ma. Na posiedzeniu tem jednak większością głosów postanowiono przygotować się do nadchodzących wyborów.

„Biali” starali się podchlebstwem jednać pojedyncze jednostki z naszego grona; sądzili, że jak nas odciągną od udziału w partii ruchu, a szczególnie tych, którzy pod względem materialnym lepiej stali, a którzy z tego powodu jak to zwykle bywa, więcej powagi używali, upadnie organizacja rewolucyjna. Na przedwyborczym też posiedzeniu w Różance u pana Augusta Zamoyskiego, wybrano do komitetu mnie i Krasuskiego (ojca), który miał przedstawić kandydatów na radców w naszym okręgu; oświadczyliśmy jednak z góry, że kandydatów żadnych stawiać nie będziemy, ponieważ jesteśmy przeciwni przyjęciu rad powiatowych – udział jednak w zebraniu wyborców weźmiemy. Zjazd szlachty na wybory w Włodawie był bardzo nieliczny, a mała manifestacyjka w mieście, która zaalarmowała Moskwę dokonała reszty, bo wojsko rozpędzało gromadzącą się ludność po ulicach, a szczególnie przed datą wyborów; tym sposobem wystraszone z miasta i tych, którzy z intencją

przeprowadzania wyborów przyjechali. Tak się skończyło przyjęcie łask, na których nie umieliśmy się poznać, jak biali utrzymywali.

Pierwszych dni września 1862 r. na zjeździe wojewódzkim reprezentantów organizacji komitetu centralnego w Łosicach, postanowiono wysłać Edwarda Lisikiewicza i dra Czarkowskiego, naczelnika powiatu (rozstrzelany w powstaniu, ukończył Kijowski Uniwersytet) do komitetu centralnego z żądaniem mianowania mnie wojewódzkim podlaskim), którą to nominację w tydzień później przez pomienionych wysłańców otrzymałem. Odtąd urząd ten piastowałem prawie do chwili wybuchu powstania. Nie zmieniło to w niczym dawnego porządku rzeczy w województwie, bo z Teodorem Jasieńskim wspólnie zajmowaliśmy się województwem jak i poprzednio.

Większość szlachty, występującej pojednawczo w zbliżeniu się do ludu, aż do przesady posuwała swą serdeczność, nie opuszczała najmniejszej sposobności zaimanifestowania szczerości swych uczuć. Gdzie się panu w tym czasie urodziło dziecko, włościanie byli proszeni w kumy, przy tej sposobności ucztowano razem za pańskim stołem, wywnętrzano się wzajemnie.

Ta gwałtowna zmiana z chłodnej obojętności na gorącą miłość i czułość dla ludu dawała trochę do myślenia włościanom z natury podejrzliwym, jakkolwiek ze strony szlachty był to poryw uczciwy, najszczerzy. Stąd też, jak u nas na Podlasiu, lud zaczął z zaufaniem zbliżać się do dworu, a najlepszym dowodem są fakty przychylności, jaką okazywał zaraz po powstaniu, kiedy szlachta, prześladowana przez rząd, często musiała korzystać z chwilowej pomocy ludu. Muszę tu jeden z takich faktów opisać. Brat mojej żony, Ignacy Bobrownicki, powróciwszy w pięć lat po powstaniu z zagranicy do kraju, został uwięziony. Majątek, będąc w administracji rządowej, był zniszczony zupełnie. Inwentarzy żadnych nie było, pola nieobsiane leżały odłogiem. Włościanie Bystr, majątku, w którym mieszkał, dowiedziawszy się o jego powrocie i uwięzieniu, w kilkunastu pojechali do Grodna, do gubernatora i poręczyli swoją osobą i mieniem, prosząc, aby go wypuszczono, na co gubernator się zgodził. Kiedy zaś został uwolniony, wzięli go ze sobą do domu i serdecznie pomagali w administracji zwróconego mu majątku. Było to w porze wiosennej, gromada wysyłała swoje pługi, zaoarała pole dworskie, zasiała swym ziarnem, następnie siano i zboże zebrała i zwiozła do folwarku, a na koniec, zebrawszy 1000 rubli między sobą, przyniosła Bobrownickiemu i ofiarowała na zagospodarowanie. To fakt niezaprzeczony, wiele podobnych znam jeszcze. Ja sam, a raczej żona moja uratowała to tylko, co dała włościanom do

przechowania. Stadninę miałem dość ładną, włościanie rozebrali ją między siebie i ani jedna sztuka nie przepadła; za granicę na emigrację odsyłali mi jeszcze pieniądze za sprzedane konie. Zaczny ten lud nasz za najmniejszą życzliwość, okazaną mu, odpłaca całą szczerością swego serca, które trzeba znać, aby je potrafić ocenić.

W gminach rządowych, gdzie włościanie nie robili od dawna pańszczyzny i po prywatnych wsiach czynszowych, organizacja powstańcza przyjmowała się doskonale, a sprzysiężenie obejmowało prawie całe gromady, które nie ustępowały pod względem patriotyzmu szlachcie zaściankowej i mieszczańcom. Tak więc konspiracja z dniem każdym coraz silniejsze zdobywała podstawy i szersze obejmowała koła, a gdybyśmy byli mogli wyczekać do wiosny 1863 r. z wybuchem powstania, lud cały na Podlasiu byłby wciągnięty do spisku. Szatańska jednak myśl Wielopolskiego przyspieszenia poboru do wojska sparaliżowała wszystko, bo przyprowadziła do przedwczesnego wystąpienia zbrojnie, jakkolwiek, moim zdaniem, komitet centralny mógł i powinien był poświęcić choćby kilkanaście tysięcy ludzi, a do powstania nie dopuścić. We wziętych do wojska Moskwa zdobywała sobie gotowych w armii konspiratorów, która i tak podminowana była knowaniami partii rewolucyjnej rosyjskiej.

W listopadzie 1862 r. przysłał komitet centralny komisarza na województwo ze swego ramienia Romana Rogińskiego, b. ucznia szkoły wojskowej w Cuneo. Młody to był bardzo człowiek, pełen zapału i odwagi, nie tyle jednak zajmował się przygotowaniem do powstania, jak myślą rychłego przyprowadzenia do wybuchu, choćby z gołymi rękami, w nadziei zdobycia broni na nieprzyjaciela.

W listopadzie dopiero na Podlasiu uformował się komitet, którego zadaniem było sprowadzić broń i ulokować ją w pewnych składach, gdzieby jej nie odkryto. Do komitetu wzmiankowanego weszli ksiądz Pijar Stanisław Brzóska z Łukowa, Gustaw Zakrzewski z Ciechomina i ja. W tym czasie odebraliśmy polecenie komitetu centralnego, aby jak najszybciej przygotować miejsca dla ukrycia popisowych, a dla niektórych pasporty za granicę, ponieważ pobór miał wkrótce nastąpić. Była to myśl niezła, bo, mając na celu powstanie z wiosną, możebnym było ukrycie popisowych przez kilka miesięcy. Cała więc czynność organizacji wojewódzkiej była ku temu zwrócona, aby popisowych ulokować bezpiecznie.

Komisarz komitetu centralnego Rogiński nie był przychylny projektowi dyslokacji, twierdził, że to do niczego nie prowadzi, bo warszawianie popisowi

zamiast się chować, będą stawiać opór władzy z chwilą poboru. Pasporyty do Galicji o ile było można, przygotowano, a bardzo wielu popisowych ukryć można było przez zimę między ludem i po lasach, w niedostępnych miejscach, gdzieby ich tak prędko przy naszej organizacji Moskwa nie dostała, władze rządowe nic by o nich nie wiedziały, oni zaś o każdym kroku robionych za nimi poszukiwań.

Wojska moskiewskie w tym czasie najsilniej obsadziły nasze województwo, ponieważ rekruci, wzięci w Warszawie i po lewym brzegu Wisły z prowincji, musieli być transportowani tędy do fortecy Brześcia litewskiego, a stamtąd partiami w głąb Moskwy.

W początkach grudnia 1862 r. byłem w Warszawie z raportem o stanie województwa u Oskara Awejdj, członka komitetu centralnego. Natenczas województwo liczyło sprzysiężonych 8000 przeszło, po obliczeniu zaś broni palnej myśliwskiej zaledwie 300 sztuk się znalazło. Koni pod kawalerię było pod dostatkiem, nie było zaś broni siecznej i kulbak. Prócz sprzysiężonych było wielu ludzi gotowych na zawołanie do broni. Dyslokacja w naszym województwie była przygotowana w stosunku do tego, co województwo pomieścić mogło. Stosunek z oficerami armii moskiewskiej, którzy w województwie stali, był nawiązany. Z początkiem września czy w końcu sierpnia b. roku otrzymałem od Jarosława Dąbrowskiego list, w którym donosił mi, z którymi oficerami (szczególnie artylerii) mam nawiązać stosunek, a o czym on ich już uprzedził. Z oficerami, o których mowa, omówiłem cały plan napadu na ważniejsze punkty w powiecie, z chwilą powstania. Od nich otrzymałem wykaz rozlokowania wojska w mieście Radzyniu, ponieważ wówczas niemniej jak po 20 żołnierzy razem stało na kwaterze. Przyobiecali mi ciż sami oficerowie, że z chwilą wybuchu powstania, przy napadzie pierwszej nocy, wyjdą z miasta i obejmą komendę nad powstańcami, potrzebują jednak na dni kilka przedtem być zawiadomieni.

Przy zdawaniu powyższego raportu Awejdzie, powiedziałem mu, że komisarz Rogiński nie przypuszcza, aby dyslokacja się udała, że do powstania w dniu branki przyjść musi, że moim zdaniem, byłaby to klęska dla nas niepowetowana, tyle jeszcze jest do zrobienia w zorganizowaniu ludu wiejskiego. Włościanie zaledwie przed kilkoma tygodniami zaczęli wchodzić licznie do sprzysiężenia. Komitet wojskowy dla zakupna i przechowania broni dopiero się zorganizował, nie posiada jednak potrzebnych funduszy, które przez zimę, czy to drogą składek, czy opodatkowania dałyby się ściągnąć. Wszystko więc przemawia zatem, aby choć z największą ofiarą wstrzymać się z powstaniem do wiosny.

Awejde potakiwał memu zdaniu i upewniał, że do powstania jeszcze tak prędko nie przyjdzie. Uspokojony, wróciłem do województwa, sprzysiężenie swoim trybem szło dalej. Służba dworska jak: parobcy folwarczni, straż leśna, lokaje, furmani, kucharze, po większej części byli dziesiętnikami, od nich rozszerzała się organizacja. Ci pionierzy organizacji korzystali z każdej sposobności, aby swe dziesiątki uzupełnić. Przyjechał do mnie krewny mój z Grodzieńskiego. Służba moja skorzystała z tego, bo zwerbowała jego furmana i lokaja, a kiedy ci złożyli przysięgę u miejscowego proboszcza unity, przyszli do swego pana z żądaniem, aby na wierność Polsce, jak się wyrażali, przysięgł, bo oni już przysięgli i od tej pory nie należy do nikogo, tylko do Polski (a byli to poddani jego z Białorusi), której służyć się zobowiązali, a zatem i panu nie wypada się od tego wyłamywać. Ksiądz przy przyjmowaniu przysięgi przemawiał zawsze w gorących słowach, przedstawiając obowiązki, jakie przysięgli na siebie przyjmuje i jakie prawa im (jeżeli to byli włościanie) jako wiernym synom Ojczyzny przysługują.

Kuzynek mój rad nie rad w obecności swej służby złożył przysięgę. Działo się to samo prawie wszędzie, a rzecz szczególna, często wpływ z dołu, a nie z góry, „jakby być powinno” oddziaływał. Stąd też dziedzic na folwarku siedział jak mysz pod miotłą, jak to mówią nie mógł nic zrobić, czego by otoczenie jego nie wiedziało. Nie było pomimo to stagnacji w obowiązkach służbowych, oficjaliści prawie wszędzie byli w sprzysiężeniu, stąd też stosunek łagodny w postępowaniu ze służbą, kolegami konspiracyjnymi ich wiązał. Sądy między sprzysiężonymi załatwiali dziesiętnicy między sobą, na tych, którzy wyłamując się z zobowiązań, stawali się niebezpiecznymi lub odgrazali się z tytułu nieporozumień z dworem lub między sobą. Sądy podobne bywały w wyrokach bardzo surowe.

Z Warszawy przysłano mi w grudniu, nie wiem za czyją inicjatywą (bo ja o to nie prosiłem) sztyletnika¹ z poleceniem usunięcia miejscowego naczelnika żandarmów, kapitana Hwoszczańskiego. Oparłem się temu, raz, aby nie robić hałasu, a po wtóre, że jakkolwiek był to łotr skończony, znałem go dobrze i potrafiłem sobie z nim radzić w potrzebie. Po pierwszej nocy powstania, ów Warszawianin, z Rajmundem i Krasuskim został razem złapany w Radzynie, a nieszczęśliwy, męczony przy indagacji, wyznał, że go wysłano z Warszawy, aby zasztyletował naczelnika żandarmów w Radzynie, ale ja do tego nie dopuściłem, i dlatego wyroku nie wykonał. Hwoszczyński po

¹ Rozstrzelano go po pierwszej nocy powstania w Radzynie, zdaje się, nazywał się Oborski.

napadzie na Radzyń, przez wdzięczność (jak się wyrażał w kartce do mojej żony pisanej), że mu ocalił życie, zawiadomił żonę, że naczelnik wojskowy Radzyński wybiera się spać i zniszczyć wszystko, co zostanie w Horostycie, żeby natychmiast wyjechała z dziećmi. Żona, korzystając z tego, zawiadomiła Bielskiego, pułkownika wojska moskiewskiego, z którym miałem zawarty kontrakt sprzedaży Horostyty, aby takowy władzy w Radzynie przedstawił, a tym samym odwrócił zemstę, jaką chciano na mnie wyrzucić; sama zaś z dziećmi wyjechała na Litwę do swego brata, gdzie z wielką biedą się dostała.

JÓZEF PIŁSUDSKI O MAJORZE BRONISŁAWIE DESKURZE

Józef Piłsudski, Rok 1863, Wydawnictwo Książka i Wiedza, 1989

Nadzwyczajny ruch panował w Horostycie, cichym zwykle dworku podlaskim. Pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekla, wieczorami zaś szyło jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. Niezbyt wesołe widocznie były przygotowania, bo pani nieraz ukradkiem łzy ocierała i tuliła drobne dzieci do siebie. W całym dworze rozmawiano szepcąc, oglądając się, by nikt nie słyszał, nawet swawolne dzieci przyciszonym głosem komunikowały sobie spostrzeżenia nad tą dziwną, nie znaną im dotąd krzątaniem i nerwową, pospieszną pracą starszych. Nie miały to być ani imieniny, ani częste dawniej przyjęcia sąsiedzkie. W kuchni nie robiono zwykłych w tych wypadkach smakowitości, lecz gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jak gdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne.

Pan domu, znany na Podlasiu obywatel ziemski, Bronisław Deskur, chodził z miną zakłopotaną po dworze, przynaglał wszystkich do pośpiechu, raz po raz zamykał się w swym gabinecie na cichą rozmowę z przyjacielem i dalekim sąsiadem, Teodorem Jasińskim. Po takiej rozmowie zwykle wychodził do izby folwarcznej i po chwili na drodze rozlegał się tętent cwałującego konia, wiozącego chłopca z posyłką do sąsiada, do miasta, czy okolicznej wioski lub plebanii. Pan Deskur przygotowywał się do napadu na Radzyń. Dom jego stał się główną kwaterą, dla ułatwienia zaś sprawy i zarazem punktem koncentracji dla broni, amunicji, zapasów wojennych i żywności.

– Za wcześniej, za wcześniej – mówił do swego przyjaciela przy krótkim wypoczynku – nie myślałem nigdy, bym teraz właśnie miał taką niespodziankę. Trzy dni tylko czasu zostało. Swoje osobiste sprawy jużem zakończył. Ale z tą bronią, czy damy sobie radę? Dotąd nie kazałem nawet kos na sztorc przekuwać, by Rosjan nie alarmować, a teraz boję się, gdy nie bardzo wiem, co robić? Umiem „ekspedite” regulamin kawalerii, czytało się coś niecoś o taktyce i strategii, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tego wszystkiego wziąć do ataku na Radzyń. Widocznie czegoś nie doczytałem, czegoś się nie douczyłem. Tu byłby potrzebny jakiś podporucznik, ale rzeczywisty, nie taki malowany major. Pamiętaj, Teodorze, musisz być ciągle przy mnie, bym się mógł kogo poradzić.

– Nie, za nic! – odrzekł Jasiński – jesteś majorem i musisz dowodzić. Pójdę na oślep, gdzie zechcesz, lecz nie zajmę się niczym samodzielnie, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tym położeniu. Mogę odpowiadać tylko za siebie! Zresztą i regulaminu żadnego nie umiem i żadnej książki wojskowej nie czytałem. Ty musisz to umieć!

Biedny pan Deskur choć musiał, jednak czuł, że nie umie. Podejrzewał jakąś lukę w swym wykształceniu militarnym i prawdopodobnie by nie uwierzył, że dla napadu z garstką „kosynierów” i „dragalierów” na armaty i karabiny żadna książka wojskowa nie jest napisana i że każdy porucznik lub kapitan niemalowany, równie jak on, byłby zdany w tym wypadku na łaskę i niełaskę swoich zdolności i energii bez żadnego oparcia na nauce i regulaminach. Ba, czułby się gorzej, bo nie miałby tego oparcia, jakie miał pan Deskur w dokładnej znajomości otaczającego go radzyńskiego świata.

Lecz pan Deskur musiał, więc słał rozkazy, jak major rzeczywisty. Do Horostyty na 21-go rano niejaki Michałowski, kotlarz z profesji, szczerzy patriota i dzielny człowiek, mający wpływ duży w różankowskich dobrach hrabiego Zamoyskiego, miał przybyć z organizacją tameczną i bronią, ukrytą na wozach. Bronią tą były kosy, przez tegoż Michałowskiego przygotowane i kilkanaście strzelb myśliwskich, będących w posiadaniu zorganizowanej straży leśnej. Do tejsze Horostyty miano ściągnąć i resztę broni z okolicy, gdyż stąd część jej trzeba było oddać i panu Krajewskiemu, wyznaczonemu do zaalarmowania załogi w Ostrowie. W Horostycie też oddział zabierał żywność na dni kilka, woreczki do kul i prochu, uszyte rękami kobiecej połowy zaludnienia dworu. Lecz dzień jeden cały ta gromada przebyć musiała na miejscu, następnie dzień cały maszerować siedem mil drogi pod Radzyń. Okoliczność ta niepokoiła głęboko p. Deskura.

– Czy też to ujdzie niepostrzeżenie, czy też przedwcześnie zamiar nie będzie odkryty i udaremniony? Ale jak postąpić inaczej? Wyznaczyć od razu miejsce spotkania dla wszystkich pod Radzyniem? Niemożliwe, trzeba by wyznaczyć termin wcześniejszy, licząc na opóźnienie i powolne ściąganie się ludzi. Gotowi będą ludzie – broń się opóźni, gotowa broń – ludzie przyjdą później. I potem ten jarmark na drodze pod samym miastem może zaalarmować, zaniepokoić załogę, a tego właśnie za wszelką cenę uniknąć trzeba. Wyznaczyć punkt zborny gdzie bliżej Radzyna, u innego obywatela? Lecz nie ma takiego, który by się nie wystraszył, nie robił wielkiej rzeczy z każdej drobnostki, kto wie, czyby nie zepsuł wszystkich przygotowań jakimś niepożądanym niepokojem lub alarmem. Niech już będzie Horostyta! Przynajmniej tu się nie rozgada, tu się zna każdego dokoła i wie się dokładnie, czego i od kogo wymagać można. Tu zresztą przygotowują się wszystkie zapasy na drogę, tu nikt narzekać nie będzie na uciążliwe kłopoty, wydatki i strachy.

Oficerowie, należący do spisku, już są zawiadomieni o terminie, mają ściągnąć wszystkich oficerów na wspólną hulatykę, tak, że armaty zostaną bez poważniejszej osłony, a żołnierze bez dowódców. Organizacja miejska w Radzynie ze swym naczelnikiem, Pyrkoszem, ma do ostatniej chwili mieć na uwadze wojsko i jego czynności, a na godzinę dziesiątą wieczór przyjść w umówione miejsce w okolicy miasta po broń i ostateczne rozkazy.

Tak, rozkazy wydane, wszystko już umówione, a jednak jakiś niepokój gryzie p. Bronisława, świeżego majora wojsk polskich. To nie tylko brak zaufania do własnych sił i umiejętności i strach przed umiejętnością fachową wroga. Owszem, to działa swoją drogą denerwująco i przypominanie wszystkich mądrości regulaminu kawalerii wraz z urywkami taktyki i strategii nie uspakaja wcale. Lecz poza tym ten ogólny niepokój o to, czy wszystkie te szczegóły dopasują się dobrze nawzajem w ostatniej chwili? Wszystkie atomy – broń i ludzie – z których przed samym napadem złoży się siła zbrojna p. Deskura, dziedzica Horostyty, wszystkie te atomy są dotąd i do ostatniego momentu nie w jego bezpośrednim rozporządzeniu, lecz mają życie samodzielne, niekontrolowane czujnym okiem dowódcy. Każdy atom z osobna chodzi luzem, a tych chwil luźnego życia jeszcze takie mnóstwo! Toż to chaos jakiś, niepodobny do uchwycenia przez żadną, choćby najżywszą, wyobraźnię! Każda chwila jest niepewna, w każdej chwili nieprzewidywany postęp, wprost nawet kaprys wroga wprowadzić może płataninę i zamieszanie do misternych obliczeń.

I jakby dla potwierdzenia tych niepokojów p. Deskura, spada nań grom nieoczekiwany. Oto w nocy z 20-go na 21-szy, akurat przed terminem zbiórki przynajmniej części sił zbrojnych, przybiega ze stolicy miejscowej z Radzyna goniec. Jest nim p. Prądyński, pomocnik naczelnika miasta. Przywozi on przykrą wiadomość, zasięgniętą od oficerów spiskowych, że żandarmeria miejscowa wybiera się z wizytą do Horostysty, że mają rozkaz aresztowania p. majora we własnej osobie. Grunt zaczynał palić się pod nogami! W oczach biednego p. Deskura wszystko zawirowało, całe obliczanie stawalo do góry nogami. Horostyta – punkt koncentracyjny – był już niepewnym, chwiejnym, jak i wszystko dokoła.

– Wysłać kontrrozkazy, odwołania? – nie sposób! Przy tych przestrzeniach i całym systemie luzaków byłoby to ryzykowne, do jednych trafi się w porę, do innych, prawdopodobnie większości, za późno, gdy poprzedni rozkaz już będzie wykonywany. A zresztą nawet tam, gdzie jeszcze na czas się nadąży, muszą też nastąpić odwołania dalsze, nowe rozkazy, które ten bezmierny już chaos zawikłają w tak niesłychany sposób, że o rozplątaniu go i ułożeniu w porządku chyba by mowy być nie mogło. Nie pozostało więc nic innego, jak „delożować” tylko samego siebie, usuwając się spod ręki władzy. Reszta pozostanie po staremu, zdwojone będą tylko ostrożności, aby koncentracja nie wpadła w oko żandarmom.

P. Bronisław prawdopodobnie miał w tej chwili jedną pociechę. Przyjaciel jego – p. Jasiński – choć umiał mniej jeszcze od niego, lecz tym razem musiał zastąpić wodza. Prawdopodobnie p. Jasińskiemu w jego naiwności ani przez głowę nie przeszło, że biorąc w tym wypadku w swe ręce ostateczne przygotowania do wyprawy, wypełnia czynność wojenną najbardziej odpowiedzialną, najbardziej delikatną, czynność sztabowych oficerów, swą administracyjną pracą torujących drogę do zwycięstwa. Niechybnie złośliwa myśl o przyjacielu, bojącym się odpowiedzialności, a zmuszonym do niej, mogła być pociechą, lecz za to wątpliwość, niepewność, znaki zapytania co do samego przedsięwzięcia musiały wzrosnąć w myśli p. Deskura w trójnasób. Z ciężkim sercem wsiadał on o świcie na brykę, wyznaczwszy miejsce spotkania w lesku podmiejskim, na drodze z Wohynia do Radzyna. Na ganku dworku rzewnymi łzami płakała dziedziczka i czworo dzieci z wystraszonymi twarzyczkami tuliło się do jej sukni.

Ksiądz Nawrocki, proboszcz w Huszczy, śpieszył, drepąc po błotnistej drodze zaścianka. Na twarzy miał rumieńce, oczy mu błyszczały, a chociaż zmuszał się do uważnego odmawiania modlitwy i myślenia o wzniosłych rzeczach niebieskich, jednak dnia tego nie mógł wymóc na sobie uwagi i skupienia. Pacierze mu się plątały, a oglądając znane sobie od dawna zabudowania zaścianka, mruczał pod nosem: „Pojutrze! Pojutrze!” Szedł do starego Macieja, kolegi z drugiego pułku ułanów z 1831 r., którego ongi był kapłanem. Teraz miał mu zwiastować nową pobudkę, nową wojenkę.

– Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parsających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz, jak złodziej, – jak zbój jaki, razić będziesz wroga z za węgla, z ukrycia. Pójdiesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych, co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega. Leczyć bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej.

Więc i Maciej, gdy od swego proboszcza i kapłana usłyszał, że już czas się gotować, nie myślał o dawnych rozkoszach bojowania, tylko wraz z księdzem jął deliberować o przygotowaniu rodzimego zaścianka do walki. Mieli napaść na załogę w Łomazach, tam kwaterował drugi szwadron ułanów smoleńskich Jego Cesarskiej Wysokości następcy tronu.

– Na ułanów! – westchnął proboszcz, wspominając dawne ułańskie czasy.

– Psia mać, za przeproszeniem księdza jegomości, – obruszył się Maciej – takie i ułany! Nieboszczyk nasz rotmistrz na cztery wiatry rozpedziłby taki szwadron. Już to im się przyglądam ustawicznie. Pójdzie nam, jak z płatką, księżu dobrodzieju, ani to się pilnować umie, a wieczorem połowa pijana. Wyrzniemy, jak świnię, za przeproszeniem dobrodzieja, a tam taki szwadron sformujemy, że nieboszczyk pan rotmistrz w niebie się uraduje.

– Zanadtoś na krew łapczywy – mitygował ksiądz – śpiących wyrzynać, nie żołnierza rzecz! Broń odebrać, konie, siodła pozabierać, a tych biedaków

puszczać wolno, taki nakaz z Warszawy. Jakoby i oni będą się buntować przeciw rządowi. Słyszę, wśród Rosjan wielu jest takich, co nam sprzyjają.

Maciej z argumentami tymi nie zgadzał się i z zaciętej mazurskiej twarzy widać było, że krwi ani swojej, ani wroga nie będzie szczędził pomimo łagodnej perswazji księdza. Nie był on zdalny do stosowania sprzecznej w swej zasadzie formuły łagodnej surowości, jaką ze swej strony rewolucja chciała się kierować w stosunku do wojska.

Zaczęła się długa narada o sposobach podejścia wroga, ukrycia pierwszych kroków przygotowawczych. Brano w rachubę każdy krzaczek, każdy domek po drodze lub w miasteczku. Maciej się gorączkował, chciał iść wprost, jak ongiś na szarżę, impetem; ksiądz mitygował, doradzał ostrożność, dorzucał uwagi, świadczące zarówno o doskonałym znawstwie terenu, jak i rozumieniu życia żołnierskiego i działań wojennych.

We wszystkim szybka następowała zgoda; Maciej przeważnie poddawał się argumentom księdza. Jedna tylko kwestia wzbudziła dłuższy spór. Szło o to, czy zaraz w zaścianku rozpocząć przygotowania, czy czekać jeszcze dnia następnego. Maciej dowodził, że zaraz trzeba skrzyknąć ludzi – od dawna przecie są już spisani – przysięgli i są gotowi. Kazać przekuwać kosy, sposobić odzież i obuwie, gotować zapas żywności. Twierdził ze słusnością, że zwłoka odbije się na gotowości, że się nie nadąży potem, że ludzie muszą przecie i pozatapiać swe sprawy domowe, i pożegnać się z rodziną, i pogodzić się z Bogiem, odbyć spowiedź świętą. Na to wszystko dnia nie wystarczy. Ksiądz upierał się, by na razie zachować w tajemnicy termin wybuchu, spuścić się z sekretu tylko najzaufanyszemu, a nazajutrz otoczyć zaścianek strażą z młodszych, by nikt z obcych i niepowołanych nie zastał szlachty przy dziwnej, niepokojącej robocie. Specjalnie obawiał się paru pijanic zaściankowych, którzy w karczmie rozgadać mogą przed Żydem, a ten mógłby o tym donieść władzy. Maciej na te argumenty doradzał wprowadzenie od razu nieledwie stanu wojennego, chciał Żyda z rodziną i ludzi niepewnych zamknąć pod straż i gospodarzyć w zaścianku śmiało.

Długo trwał spór, lecz wreszcie Maciej i w tej sprawie ustąpił. Ustąpił nie dla słusności argumentów proboszcza, lecz dla jego powagi kapelana ułańskiego. Narady się skończyły. Nazajutrz w zaścianku, otoczonym czujnymi strażami, wrzała praca. W kuźni na gwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łyzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonalach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej

urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa. A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przespiegi, na pilnowanie wszelkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusi – wojscy nowocześni – próbowali łagodzić smutek zrządzeniem; wszystko, co było silnym, zdrowym, wzięwszy w tęgie, spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiędze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków – Wiski i Tuczna – tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w żołdacy na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficerskimi.

Na plebanii w Białej u proboszcza księdza Mleczki w bocznym pokoiku od paru miesięcy rozgospodarował się młody, nieznaný dotąd nikomu młodzieniec. Proboszcz przedstawiał go, jako swego siostrzeńca, lecz dziwny był stosunek pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Jeżeli szło o szacunek i poważanie, to korzystał z nich właśnie siostrzeniec, który w rozmowach używał tonu nakazującego i mówił do otoczenia, jak przełożony do podwładnych. Od czasu jego zamieszkania do niepoznania zmienił się tryb życia na plebanii. Drzwi się nie zamykały prawie; w pokoju siostrzeńca odbywały się ciche narady i szepty, do których nie zawsze był dopuszczany sam gospodarz domu. Młodzieniec często uciekał na całe tygodnie, do proboszcza zaś zgłaszali się coraz częściej ludzie z odległych okolic. Była to główna kwatera rewolucyjna, z początku na całe województwo Podlasia, a potem na obszerny powiat bialski. Młodzieńcem zaś był młody Roman Rogiński, dawny komisarz pełnomocny Komitetu Centralnego na województwo, a teraz naczelnik powiatu. Od czasu ostatniego powrotu z Warszawy i Siedlec, od 19 stycznia, nerwowo Rogiński nie miał odpoczynku. Wszędzie go było pełno, podwoił, potroił swe usiłowania, by jego дума, Biała z okolicą, wysunęła się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce podczas napadów w nocy 22 stycznia. Był prawie pewien powodzenia. Wojsko pod komendą gen. Mamajewa nie spodziewało się niczego i ślepy by to spostrzegł. Przed chwilą właśnie umówił się Rogiński

z komendantem baterii, Suchodolskim i jego subalternem Zalewskim, co do szczegółów napadu. Na alarm nie wyjdą wcale z mieszkania, pozwalając spiskowym kanonierom gospodarzyć jak chcą w baterii, ci zaś strzałami mają nastraszyć konie, tak, by nie zdołano dział zaprząć i by zamieszanie, w ten sposób wywołane ułatwiło zdobycie armat. W okolicę już gońce rozesłani. Od Janowa Podlaskiego ma przybyć 400, tych przyprowadzi ksiądz Rozwadowski, proboszcz z Niemirowa; z Zalesia pod Bogusławskim stanie stu ludzi, spod Łosic z jednego z zaścianków nauczyciel ludowy, Wolanin, ściągnie z 300 szlachty. To wszystko zaś jest tylko pomocą, rezerwą. Grunt to mieszczanie bialscy, spiskowi, zaprzysiężeni każdy osobno, nie tłum nieobliczalny. Dwustu ich stanie, dzielnych zuchów rzemieślników, chłopów na schwał, zdolnych i do tańca i do różańca, jak to mówią; rzemieślnicy, to dusza spisku w Polsce. Dwudziestu razem z Rogińskim wpadnie do kwatery wodza sił wrogich, reszta, podzielona odpowiednio, uderzy na koszary baterii za miastem, na sotnię kozaków, wreszcie na kompanię piechoty.

– Wszystko obliczone, wszystko ułożone. Nie! Chyba nie może się nie udać!

Rogiński w duszy nawet się cieszył, że nie zastał Mrocza, oficera od saperów, wyznaczonego do komendy w tym napadzie. Wysłano go nagle do Kazania, hen, daleko nad Wołgę. Komitet Centralny liczył, że tam powstanie bunt chłopów rosyjskich, jak ongi za dawnych czasów Katarzyny wybuchł bunt Pugaczewa. Komitet tym łacniej temu dawał wiarę, że go w tym kierunku zachęcano gorąco ze strony najbardziej kompetentnej: ze strony wodzów duchowych rewolucji rosyjskiej, Hercena i Bakunina, którzy potężny wpływ wywierali na spiskowych oficerów rosyjskich w Polsce. Bez tego fachowca, któremu z konieczności komendy ustąpić by trzeba, cały talent wojenny Rogińskiego – a weń z pewną słusznością wierzył święcie p. naczelnik powiatu – zajaśnieć może w pełni. Uczeń szkoły wojskowej polskiej, szkoły rewolucyjnej, pokaże, co umie!

I nagle w maszynie, nakręconej tak dowcipnie przez młodego wodza, coś się psuć zaczęło. Właśnie, odpoczywając chwilkę, marzył on o dalszym rozwoju działań po zwycięstwie w Białej, gdy do drzwi ktoś cicho zapukał w umówiony sposób.

– Proszę! – obudził się z marzeń Rogiński. Do pokoju wsunął się młody, dwudziestoparoletni rzemieślnik z przekrzywioną od zgrozy twarzą i nie zapomniawszy przyjąć wobec naczelnika postawy odpowiedniej, jednym tchem zaraportował:

- Panie naczelniku! Niestety! Księża reformaci rozgrzeszenia nie dają!
- Co pleciesz?! – zerwał się Rogiński.
- Jakiego rozgrzeszenia?

Rzecz się wyjaśniła szybko. Stu kilkudziesięciu ludzi przed wyjściem do boju poszło do spowiedzi księży reformatów. Lecz tu nie poszło tak gładko, jak u kapelana drugiego pułku ułanów polskich w Huszczy. Zakonnicy przestraszyli się, że ich posądzą o współudział w napadzie i przy konfesjonatach jęli odmawiać swych penitentów od ryzykownego kroku, nie dając nawet rozgrzeszenia pod pozorem znajdowania się w stanie grzechu przeciw przykazaniu: nie zabijaj. Tłum skupiał się w kościele, zmieszany, zdemoralizowany, niepewny przedsięwzięcia. Więc zapaleńsi posłali po naczelnika. Rogińskiemu, raptusowi z natury, zaiskrzyły się oczy. Narzucił kożuszek, schwycił czapkę i pędem ruszył do kościoła. Ręce mu dygotały, w kieszeni zaciskał nerwowo rewolwer.

- Zabiję, zamorduję, z dymem puszcę! – przelatywało mu przez głowę.

Wreszcie dopadł do kościoła. Tłum ochotników powstańczych z uszanowaniem się rozstępował, dając przejście naczelnikowi. Już nie przy konfesjonatach, lecz w środku kościoła odbywała się dysputa. Z jednej strony zakonnicy z oburzeniem odpychali penitentów, z drugiej młodzież, jedni zapalczywie, inni na klęczkach, błagali lub nastawali gwałtownie, żądając spowiedzi i rozgrzeszenia. Na to właśnie wpadł Rogiński. Ognieście, chociaż niezbyt wymownie, zaczął zarzucać ojcom, że popełniają zbrodnię narodową, że gdyby szło o spowiedź żołnierza w służbie rosyjskiej, żołnierza, idącego wyrzynać własnych braci, to by mu rozgrzeszenie dali, a tutaj nie czynią tego jedynie z nędznego tchórzostwa.

Wreszcie, coraz bardziej się rozgrzewając własnymi słowami, krzyknął:

- Żywcem tu was spalę! Z dymem puszcę klasztor, jeśli nie ustąpicie i nie wypełnicie obowiązku!

Musiała być w tej groźbie siła i jakaś prawda, bo księża cofnęli się i spowiadanie rozpoczęli. Rozdrażniony Rogiński po chwili wrócił do domu. Nie miał już poprzedniego spokoju i pewności siebie, czuł, że część, może i znaczna część mieszczan ulegnie nastrojowi, wywołanemu przez księży reformatów, a naprawiać szkody już nie miał czasu, za kilka bowiem godzin należało stanąć do boju. Nie wiedział jednak, że już spadło nań nowe, kto wie, czy nie większe nieszczęście, które już w niwecz obróciło wszystkie jego rachuby. Kapitan Suchodolski, dowódca konnej baterii nr 3, od kilku godzin siedział w swym mieszkaniu w ciężkiej zadumie. Należał on do kółek oficerskich rewolucyj-

nych, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ot tak, dla mody, która opanowała inteligencję owego czasu, gdy być ugodowcem było to samo, co nosić żaboty, pończochy lub trzewiki ze sprzączkami. Rewolucja była hen, gdzieś daleko, jakaś nierealna, nie wkładająca żadnych obowiązków, a tym czasem przy spotkaniach z kolegami było tak miło drwiąco odezwać się o władzy, skrzywić się na wzmiankę o cesarzu, gorąco krytykować możnych tego świata, przed którymi było się takim maluczkim w życiu.

A oto przyszły realne obowiązki rewolucyjne. Jeżeli dotąd przymykał tylko oczy na szerzenie się spisku wśród żołnierzy swej baterii, to przecie widział to wszędzie naokoło. Czynił to cały rząd w swej łagodnej surowości, w swej ustępliwości przed rewolucją. Ale teraz trzeba było przejść przez Rubikon². Trzeba było zamknąć oczy na opanowanie przez powstańców baterii, za którą jest odpowiedzialny, trzeba było zamknąć oczy na rzeź swoich żołnierzy.

– A co będzie, gdy wojsko napad odeprze, a on jutro będzie musiał stanąć przed oczami komendanta, generała Mamajewa i odpowiadać za niestawienie się podczas alarmu, za niespełnienie najkardynalniejszego obowiązku żołnierza?

Sąd wojenny, scena rozstrzelania mignęły mu w oczach.

– Brr!... Więc co? Czy można temu przeszkodzić? Przekonać Rogińskiego o niedorzeczności napadu?

– Ależ to niepodobieństwo, ten zapaleniec gotów go zabić, usunąć z drogi! Zresztą przekonać się nie da!

– Uprzedzić Mamajewa?

Wzdrygnął się na razie. Czarna to zdrada, wydanie na rzeź już nie swych żołnierzy, lecz kolegów ze spisku! Rumieńcem wstydu spłonął narazie. Lecz jest to właściwie jego obowiązkiem żołnierskim, tak mu nakazuje przysięga, którą składał po przyjęciu szlif oficerskich. Zresztą nikt o tym wiedzieć nie będzie. Pójdzie do Mamajewa, uprzedzi go o napadzie, wojsko stanie w pogotowiu, powstańcy nie ośmielą się napaść. Mamajewa zaś samego przekona o konieczności możliwie pokojowego załatwienia sprawy. Przecież znaną jest rzeczą, że namiestnik, wielki książę, mający duży wpływ na cesarza, jest stronnikiem łagodności rządów, stronnikiem reform liberalnych, główną podporą partii reformy i opiekunem urzędników, skompromitowanych za

² Rubikon – mała rzeczka, wpadająca do Adriatyku, na granicy starożytnej Galii Cisalpińskiej. Cezar, przekraczając Rubikon, rozpoczął decydującą wojnę z Pompejuszem i senatem rzymskim. Stąd „przejść Rubikon” – powziąć decyzję.

swe zbyt radykalne poglądy. Tak będzie i wilk syty i koza cała. Jeżeli rewolucja ma w istocie siłę, to brak powodzenia w jakimś jednym miasteczku nie wpłynie na wypadki, a jutro, pojutrze najdalej będzie to widoczne. Jeszcze chwilka wahania – wreszcie pan kapitan drżącymi rękami przypasał szablę i korzystając z wczesnego styczniowego zmierzchu, by nie być dostrzeżonym, wymknął się chyłkiem na ulicę. Za chwilę Mamajew przestrzeżony kazał uderzyć na alarm. Wszelkie plany Rogińskiego przysły, jak bańka mydlana!

Takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanij, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała, i ciężkich tragedij, jak los kapitana Suchodolskiego – było mnóstwo w dni owe w naszym kraju. Te same kłopoty, te same rozkazy i przeciwozroczaj, te same wahania i wątpliwości. Wszędzie to samo zmaganie się z okropnymi trudnościami wytworzenia z chaosu, a więc z niczego, jawnej, zorganizowanej siły zbrojnej. Przygotowania techniczne były zaniedbane już to dla braku środków, już to dla względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawiania tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych. Nie chciano dolewać oliwy do ognia i doprowadzić do wybuchów lokalnych, niezwiązanych z sobą w jakiś system. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojennych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące malały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikły, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu – gdzie niegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu – potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie. W takich chwilach ludzie szukają oparcia moralnego. Jedynym tym oparciem była Warszawa, był Komitet Centralny, widoma głowa ruchu.

Toteż jeden goniec za drugim pędził do stolicy z zapytaniami, wątpliwościami, z żądaniami. Pierwsi gońcy byli zwiastunami zdziwienia i przerażenia, które sam rozkaz wywołał. Zewsząd – z Podlasia, z Lubelskiego, z Kaliskiego, z północy i południa, ze wschodu i zachodu – słano zapytania: czy być może? Z czym pójdziemy? Nieledwie: czyście oszaleli?!

W Warszawie, jako zastępcy Rządu Tymczasowego, zostali trzech ludzie: Stefan Bobrowski, Władysław Daniłowski i Witold Marczewski: pierwsi dwaj młodzi, dwudziestokilkoletni akademicy, ostatni trochę starszy, inżynier kolejowy. Bobrowski, który rozumem, wolą i energią trójcy tej przewodził, odprawiał tych pierwszych gońców na razie.

Jeszcze gdy szło o pomoc materialną – parę groszy, kilka kozuchów, trochę prochu czy ołowiu – jeszcze w tych wypadkach energia i stosunki Rządu wystarczały. Lecz gdy miała być dana rada wojenna, wskazówka techniczna, gdy trzeba było uspokoić sumienia świeżych majorów i kapitanów, dodać im pewności siebie, gdy słowem, szło o kierownictwo wojenne, o myśl przewodnią działań, brakło nie sił i energii, nie woli i serca, lecz głowy i zrozumienia rzeczy. W poczuciu więc własnej niemocy, w bezpłodnym wysiłku mózgów i nerwów malała wola, znikwała stanowczość i decyzja. Impulsy z centrum życia rewolucyjnego były coraz słabsze i bledsze. W końcu w głównej kwaterze zwątpiono, czy w ogóle cokolwiek będzie, czy w ogóle rozkazy w jakimkolwiek sposób będą wykonane i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością, przedmiotem dowcipów i drwin pokoleń następnych.

W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że tu na miejscu, w stolicy i sercu ruchu rewolucyjnego, wyglądało wszystko po dawnemu, bo w ogóle przygotowań nie poczyniono. Warszawa, promotor wojny, Warszawa, która dała do niej hasło, która wymusiła na Komitecie Centralnym ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie, najdotkliwszy, najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju, Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wsie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej. Tu, gdzie pracował mózg organizmu wojennego wroga, sztaby wojenne i kierownicy polityki nieprzyjaciela, gorący oddech walki bezpośredniej nie miał mu zamącić spokoju pracy, nie miał osłabić decyzji i woli. Błąd ten, błąd fatalny dla ogółu operacji, nie był jednak w ten właśnie sposób odczuwany przez młodych przedstawicieli Rządu. Gnębiła ich bardziej beczynność wojenna, czuli się upokorzeni, że nie są w szeregach walczących, tam, w drobnych miastach i miasteczkach. Po głowach snuły im się plany równie ryzykowne, jak sama rewolucja.

Więc Bobrowski rzucał się, by porwać brata cesarskiego, wielkorządcę Polski, Konstantego. Kilkunastu śmiałków, upatrzywszy odpowiednią chwilę, rozpędzi konwojujących kozaków i wielkiego księcia szybko wywiezie do lasów okolicznych. Bobrowskiemu, rozkochanemu w swym wodzu, wydawało się,

że posiadanie w obozie tak cennego zakładnika od razu wyniesie Zygmunta Padlewskiego na czoło powstania, od razu uczyni go ogniskiem, koło którego skupią się wypadki rewolucyjne.

Daniłowski znowu przypomniał dawne plany Jarosława Dąbrowskiego, wówczas zamkniętego już w murach cytadeli. Twierdził, że trzeba rozbiec się po mieście niewielkimi grupami, wpadać do mieszkań dygnitarzy wojskowych i cywilnych, zabijać ich, wprowadzać dezorganizację. Wszystko to było ogólne, mgliste, nieprzemyślane. Wszystko nie stało w żadnym związku, zrozumiałym choćby tylko dla autorów tego czy innego planu, z ogółem rozwijających się wypadków. Wreszcie ta trójca rządowa tak była zarzucona szczegółami i szczegółikami rozpoczynającego się już gdzie indziej życia wojennego, że mowy być nie mogło, aby się jeszcze na coś samodzielnego zdobyła. Warszawie sędzonym było milczeć tym razem, poprzestając na niesieniu pomocy powstającej prowincji.

W rosyjskiej kwaterze głównej nie oczekiwano wcale nadchodzących wypadków. Władze cywilne łudziły się nadzieją, żywiły nawet pewność, że po wyłapaniu najgorętszych łagodnym, lecz stanowczym słowem, potem ze złością i wzruszeniem ramion. Pamiętał, że ci sami ludzie, którzy teraz niepokoił się i okazywali brak stanowczości, niedawno jeszcze argumentowali inaczej. Nie tylko zachęcali, lecz wprost wymagali, groźnie żądali wybuchu. Pamiętał, że wtedy w rozpacz, rozgoryczony brakiem zaufania, a przeświadczony o niemożliwości żądań, zdobył się na propozycję, by gremialnie z całym składem Komitetu Centralnego oddać się w ręce wroga. A teraz ci sami, ludzie tłumu bez pamięci, nastrojowcy, gdy wybiła godzina, ślą mu słowa mądrości, przeczności i... lęku.

Wzruszył ramionami. Lecz później przyszli gorńcy ze sprawami technicznymi, z zapytaniami, które czuć było prochem, w których dojrzeć było można organizację wojenną, manewr bitewny. Tu bezradnie opuszczali się ręce wodzów narodu; żaden z nich najmniejszego o tym nie miał pojęcia; żaden nawet nie miał takiego odczucia luk w swym wykształceniu wojennym, jakie miał pan dziedzic z Horostyty. Liczono na bezsilność ruchu rewolucyjnego, groźnego, co prawda, w słowach, lecz skrępowanego warunkami tajnej organizacji. Władze wojskowe szemrały, sądząc, że wojsko jest niezabezpieczone, a używane raz po raz do robót policyjnych, rozprasza się coraz bardziej po kraju. Lecz szemrania były ciche, nie odważono się na żaden śmielszy krok w sporze z władzą cywilną, ta bowiem miała poparcie u wielkiego księcia Konstantego.

Jeżeli noc 22 stycznia zastała Polaków nieprzygotowanych do niej technicznie i organizacyjnie, jeśli wypadki postawiły przed Polakami nadzwyczaj trudne zadanie nagłego zaimprovizowania siły zbrojnej bez jakiegokolwiek przyzwoitego przygotowania do niej, to Rosjan zaskoczyła ona psychicznie. Organizacja i technika były u nich gotowe, jak w każdej regularnej armii, co prawda, osłabione rozproszeniem armii po kraju, lecz duchowo wojsko do wojny się nie gotowało, w stanie wojny się nie znajdowało i wszystkie korzyści inicjatywy działań i niespodzianki przypadały Polakom, jakby dla częściowego przynajmniej wyrównania szans boju.

Na olbrzymim placu bitwy – a takim placem nocy 22 stycznia miału być cała Kongresówka – stali naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy. Jednym była rozproszona na drobne oddziały i jeszcze dyplomatyzująca armia rosyjska, silna swą techniką i organizacją. Drugim były koncentrujące się w ostatniej chwili z luźnych atomów oddziały polskie, lichy uzbrojone, a liczące na niespodziany nocny napad w połączeniu z pomocą, której spiskowi sojusznicy mieli udzielić od wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego.

Największe natężenie ruchu powstańczego istniało w Płockim, na Podlasiu i Sandomierskim. Reszta kraju albo, jak Lubelskie, nie miała wodzów, albo też brakło jej dostatecznej ilości dostatecznie podnieconych żołnierzy, jak było na całym zachodzie: w Kaliskim, Krakowskim, a w wielkim stopniu i na Mazowszu. W tej części placu boju co najwyżej liczyć było można na drobne, nieznaczące i nie mogące wpłynąć na losy boju utarczki. Główne uderzenie musiało nastąpić tam, gdzie się ześrodkowały główne, chociaż jeszcze rozproszone, siły spisku, to jest na całym wschodzie. W Płockim, na Podlasiu, w Sandomierskim wreszcie, półkołem otaczając serce ruchu i stolicę kraju, miał wybuchnąć bój – walka zdradliwa i rozpaczna, jaką zawsze jest starcie powstającego ludu z „prawnie” istniejącą władzą, opartą o całą potęgę techniki wojskowej, jaką posiada każde państwo. Kosy miały się zderzyć z bagnetami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom. Pomocą zaś w nierównej walce miała być noc ciemna, niespodzianka, wreszcie zdrada w obozie nieprzyjacielskim – ułatwienie napadu przez spiskowych oficerów w armii rosyjskiej.

Czy dlatego, że energiczniej szła przygotowawcza praca na Podlasiu, czy że silniejszymi okazały się tam charaktery, właśnie w tej części kraju bój wypadł naj-

krwawszy. Brak czasu i broni, przeciwdziałanie przeciwników powstania wśród Polaków i tu, jak wszędzie, przeszkodziły w wielu miejscach części spiskowych wyruszyć w pole. Niektóre więc planowane napady zawiodły najzupełniej, czy to z braku dowódców lub żołnierzy, którzy zgodnie z prawami wojska ochotniczego zostali w domu. Zamiast sześciu tysięcy, które miano wystawić przeciw sile wroga, wyższej liczebnie, zaopatrzonej w artylerię, zaledwie 1500 ludzi stanęło do rzeczywistego boju.

Tysiąc pięćset ludzi, zebranych w ostatniej chwili, więc niespojonych organizacją wojskową, ludzi, którzy najczęściej broni w rękę nigdy nie mieli! Trzeba było szaleństwa decyzji rewolucyjnej, by w tych warunkach bój rozpoczynać. Trzeba było naiwnej w duszach wiary, rozwijanej i potęgowanej przez długotrwały okres wrzenia rewolucyjnego, podczas którego wszystko, co jest władzą, powoli w proch się rozkładało, przestając otoczenie zmuszać do posłuszeństwa już to swą powagą, już to postrachem kary. Trzeba było tej ogromnej przemocy moralnej, z jaką każdy ruch rewolucyjny występuje w stosunku do swych zwolenników, a nawet do przeciwników swych dążeń. W chwili wybuchu, gdy technika i sprawność wojenna nie wypowiedziały swego słowa, wyraźnego aż do brutalności, powstającemu ludowi w całej rozciągłości sekunduje jeszcze ta siła, która w okresie przedwybuchowym w ścieraniu się ze stroną przeciwną świeciła same prawie triumfy, zmuszając wroga do cofania się przed nią – sekunduje mu siła moralna. Jeszcze w chwili samego wybuchu odnosi ona dziwaczne nieraz zwycięstwa!

Oto na skrajnym wschodzie placu boju nastąpiło spotkanie dwóch przeciwników. Jeden z nich to generał Mamajew, komendant garnizonu w Białej. Uprowadzony, jak widzieliśmy, przez zdradę jednego ze spiskowych oficerów, kazał uderzyć na alarm i zaraz po dziewiątej wieczór wytoczył na rynek miasta wszystkie swe siły. Więc ośm dział odprzodkowanych, gotowych do strzału stanęło pośrodku. Ostończyła je ze skrzydeł kompania piechoty, a dokoła jako flankierzy i wywiadowcy, rozsypali się Kozacy. W ciemnościach wilgotnej, dżdżystej nocy styczniowej zabłyśły ognie, suto wpośród rynku rozpalone. O nagłym, niespodziewanym zawiązaniu armatami, o zniesieniu siły rosyjskiej podstępny napadem nocnym mowy być nie mogło. Wstępny bój toczonym być musiał otwarcie – jawnie trzeba było pokazać, czy kosy, drągi, siekiery, a w najlepszym razie śrutem nabite rusznice są zdolne do pojedynku z działami i gwintowanymi karabinami, z całą techniką wojska, w swym przepychu i dumie ześrodkowaną na rynku małego miasteczka.

Naprzeciw, u wylotu jednej z ulic na rynek, zaczęła się zbierać gromadka powstańców pod dowództwem młodego Rogińskiego, którego śmiałe zamiary wniwecz się obróciły. Spiskowi bialscy ścigali się powoli i leniwie. Zdemoralizowani przez kontragitację księży reformatów, przestraszeni widoczną przemocą wroga, przygotowanego do odparcia napaści, rzemieślnicy bialscy haniebnie dezercerowali z szeregów spiskowych. Do godziny jedenastej wieczór zebrało się zaledwie sześćdziesiąt kilku ludzi, którym rozdano kosy, siedem dubeltówek i cztery pojedynki myśliwskie. Kilkunastu żołnierzy Polaków z baterii nieprzyjacielskiej otwarcie wyszło z szeregów, by stanąć z bronią – pałaszami – po stronie powstania. I ta drobna garstka, wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierzka, przez parę godzin w trwożnym napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmiałków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnym spojrzeniem boa dusiciela. Jednak zdolnym do ruchu w tym wypadku okazał się nie boa-dusiciel! Rogiński z samego rynku pchnął powstańców-pocztarków, którzy z odgłosem trąbki pocztowej rozbiegli się w różne strony, jako adiutanci, pędzący do sąsiednich oddziałów z prośbą o pomoc. I znowu minuty za minutami, kwadranse za kwadransami mijały w śmiertelnym oczekiwaniu.

Wreszcie o pierwszej w nocy Rogiński znowu na ruch się zdobywa. Tym razem postanawia ustąpić z placu, lecz ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską – przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa, skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc. Więc naprzód poszli dezercerzy-kanonierzy z kosą w rękę, w końcu, przykrywając marsz, jedenastu strzelców z Rogińskim, uzbrojonym w rewolwer na czele.

„Była taka cisza – pisze Rogiński, – że słysząc było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego”.

Rynek przebyli szczęśliwie i wówczas dopiero Mamajew puścił w pogoń kozaków, których odstraszonego paru strzałami. Któż więc w tym bezkruwym zmaganiu się sił był hipnotyzерem? Czy bezczynna i bezwładna w swej masie zbrojnej siła rosyjska, jako wojsko – zdemoralizowana zdradą oficerów i żołnierzy, czy garstka prawie bezbronnych straceńców, spokoj-

nie defilujących przed najeżonym bagnetami frontem wroga? Dopiero o milę od Białej Rogiński spotkał nadciągające opóźnione oddziały księdza Rozwadowskiego i Wolanina, liczące razem trzystu ludzi. Mamajew zaś wystraszony tą bezkrwawą bitwą, słał gońców jednego za drugim, by ścigać do Białej większe siły, jak gdyby mu nie wystarczyły dotychczasowe. W kilka dni potem Rosjanie opuścili Białą, wycofując wojsko do Siedlec i sąsiedniej fortecy – Brześcia.

Nie wszędzie jednak na Podlasiu bój był tylko zmaganiem sił moralnych. Gdzie tylko czynnik niespodzianki mógł być wyzyskanym należyście, bój był przeprowadzony nieraz z rozpaczłą energią. Wzięcie w Kodniu Nencki z furią wpadł na paruset żołnierzy, stanowiących załogę miasteczka i będących obsługą parku artyleryjskiego. W jednej chwili rozprężone i rozproszone siły rosyjskie w beładnym popłochu opuściły miasteczko, oddając na łup zwycięzcom niewielki skład broni i naboju. Kilkunastu żołnierzy z oficerem, wziętych do niewoli, świadczyło o zupełnym zwycięstwie.

Wzięcie w Łomazach znany nam zaścianek szlachecki Huszcza tak samo znieścą wpadł na szwadron ułanów, rozbił go w puch, zabrawszy rynsztunek i wielką ilość koni.

Wreszcie w Łukowie ksiądz Brzózka, który z czasem miał się wstawić, jako ostatni partyzant Polski, nie schodzący z pola walki jeszcze na wiosnę 1865 r., nagłym napadem wyrugował z miasta dwie kompanie piechoty, zabrawszy sporą ilość broni.

Gorzej poszło w samych Siedlcach i Radzynie, gdzie bitwy były najkrwawsze i gdzie po krótkim starciu plac boju został przy Rosjanach.

W Siedlcach przewodził Polakom wódz Podlasia, pułkownik Lewandowski. Jak wszędzie, tak i tutaj, poprzednie obliczenia zawiodły. Większość ochotników nie stanęła do apelu, już to z przyczyn usprawiedliwionych, jak najrozmaitszych przeszkód technicznych, już to ulegając moralnej depresji w ostatniej chwili. Przy najpesymistyczniejszym obliczeniu sądzono, że stawi się najmniej tysiąc ludzi; w rzeczywistości stawiło się koło trzystu, zaledwie trzecia część tego, na co liczyli pesymiści. Świeży żołnierz, lichy uzbrojony, niepewny w swych poruszeniach, po raz pierwszy zobaczył swego naczelnika w nocy przed samym bojem. Nawet zewnętrzna jego postać nie mogła być dokładnie rozeznana, a Lewandowski sam, spostrzegłszy wahanie się ludzi, nie zdecydował się uderzyć na silną załogę siedlecką. Cofnął się więc o pół mili, by znieść kompanię, osobno stojącą w Stoku Lackim, tym bardziej, że tu

właśnie ześrodkowane były składy 19-go pułku kostromskiego, podówczas rozsyanego drobnymi załogami po kraju. Pierwszym nagłym uderzeniem Polacy opanowali składy i odrzucili kompanię do wsi, gdzie żołnierze, instynktem samym prowadzeni, roztarasowali się po chałupach, odstrzeliwując się napastnikom. Ciemna noc, obok niedostatecznej organizacji wewnętrznej i spoistości świeżego wojska polskiego, nie dały możliwości przeprowadzenia z powodzeniem trudnego względnie zadania stopniowego wyparowania żołnierzy rosyjskich z osiedli. Powstańcy stanowili bezładną kupę ludzi, z którą złożonego manewru nie sposób było wykonać. Poprzestano więc na utrzymywaniu gęstego ognia ze strzelb i zdobytych karabinów i z najbliższej tylko podpalonej chałupy zdołano wyrzucić obrońców wioski. Oczekiwano świtu, ażeby z większą łatwością móc zorganizować oddział i użyć go jako siły zorganizowanej do skończenia zaczętego dzieła. Lecz nad ranem z Siedlec i niedalekiej Białki nadbiegła odsiecz w postaci trzech kompanij piechoty i sotni kozaków. Niezorganizowane wojsko polskie okazało się niezdatnym do dłuższego oporu. Oddział zaczął się rozprzegać, cofać grupami do pobliskiego lasu, wreszcie o samym świetle bój ustał. Polacy, nieścigani przez Rosjan, lecz zdeorganizowani długim bojem, prawie w zupełnej rozsypce rozeszli się w różne strony. Sam zaś Lewandowski z niewielką garstką ludzi uszedł, by szukać innych podwładnych mu oddziałów.

Dziedzic z Horostyty – pan Deskur – miał prowadzić atak na Radzyń. Rozstaliśmy się z nim w chwili, gdy zrozpaczony musiał porzucić sklecone z takim mozołem atomy podwładnej mu siły zbrojnej. Zgodnie z planem, ułożonym jeszcze w spokojnej Horostycie, miał on stanąć pod lasem o dwa kilometry od Radzynia wieczorem 22 stycznia, by tam oczekiwać na przymarsz zebranych ludzi. Po drodze, dla pewności, bo był sam jeden, jak palec, zabrał z sobą Jerzmanowskiego, człowieka starszego, kiedyś, w 1848 r., za spiski zesłanego na Syberię. Jerzmanowski od stóp do głowy zbroił się na wyprawę.

Wreszcie pan major stanął u celu – na skrzyżowaniu kilku dróg, którymi nadciągnąć mogli jego ludzie. Mrok zapadał, mokry śnieg począł sypać. Jerzmanowski został na skrzyżowaniu dróg. Deskur zaś sam udał się na skraj lasu, skąd mógł z dala obserwować Radzyń i spotkać spiskowych mieszczan radzyńskich. Chwila za chwilą mijały w przykrym oczekiwaniu. Niepewność gryzła pana majora:

– Czy też uda się misterny plan skoncentrowania wszystkich atomów – ludzi i broni – pomimo wszelkich przeszkód w jednym punkcie?

A tu nagle nowe nieszczęście! Z dala zbliżał się turkot szybko jadącego wozu, rozlegały się dźwięki trąbki, po chwili padły dwa strzały, a koło zdumionego majora w pełnym cwale przemknął wóz z dwoma żołnierzami rosyjskimi. Na skrzyżowaniu dróg Deskur Jerzmanowskiego nie zastał.

– Wszystko stracone! – oto pierwsza myśl, która przemknęła przez głowę nieszczęśliwego majora. Kłopoty organizacyjne, niepewność oczekiwania samotnego, mokry śnieg, wreszcie alarm niespodziewany, wszystko to razem z równowagi duchowej wyprowadziło Deskura. Włosy mu dębem stanęły na głowie, a język kołkiem w ustach – jak to sam znacznie później opisał w swym pamiętniku. Miał jednak tyle odwagi i hartu, by straconego, jak mu się zdawało, posterunku przecież nie opuścić.

– Nie wydawać przynajmniej na łup nieuprzedzonych powstańców! – myślał i znowu naczelnik siły zbrojnej parę godzin spędził pod krzakiem w oczekiwaniu swych ludzi. Był szczęśliwszym od innych, na przykład, od Oxińskiego w Kaliskiem, który tej samej nocy w takiej samej samotności doczekał się w ciągu nocy jednego – wyraźnie jednego tylko – ochotnika.

Pan Deskur już o jedenastej wieczór doczekał się swego przyjaciela Jasińskiego, który z Horostyty przyprowadził na punkt zborny stu kilkudziesięciu ludzi i trochę broni: 40 dubeltówek i 100 kos. Broni, nawet tej lichej, było tak mało, że mając na uwadze konieczny udział mieszczan radzyńskich w boju, nowych przybywających ochotników pan major odprawiał z kwitkiem, jako zbyt ciężki balast dla swego oddziału. O dwunastej nareszcie zjawili się dawno oczekiwani mieszczenie z Pyrkoszem i Prądzynskim na czele, z gołymi rękoma, nawet bez siekier. Niektórzy otrzymali kosy, reszta poszła z drągami. Nowiny z miasta były uspakajające. Oficerowie, w dwóch miejscach zebrani, grali w karty i hulali, żołnierze spali snem sprawiedliwych. Co prawda, wobec braku broni w oddziale panowało przygnębienie, lecz pan major opanował ludzi i wydał rozkazy.

– Przede wszystkim wziąć w swoje ręce naczelników! – brzmiało polecenie.

Pyrkosz miał prowadzić mieszczan na jedno z mieszkań, gdzie byli zebrani oficerowie. Otoczyć ich, ubezwładnić i postąpić z nimi, jak nakażą oficerowie spiskowi, – oto było jego zadanie. Drugiej części oddziału Michałowski miał użyć dla ujęcia głównego komendanta wroga – generała Kannabicha, który u Chwoszczyńskiego, oficera żandarmów, grał w karty. Wreszcie na główną wartę i koszary artylerii sam pan Deskur prowadził resztę oddziału: 14 strzelców i 40 kosynierów. Rozpoczyna Pyrkosz, który dla dania sygnału innym zapali słomę, złożoną dla artylerii w rynku.

W rozkazach nie było tej ściśłości i pewności siebie, jaka była pożądana. Pyrkosz czynności swe miał uzależnić od nieobecnych w tej chwili oficerów spiskowych, którzy mogli się zachwiać w postanowieniach. Zapalenie zaś słomy, jako sygnału, świadczyło, że ludzie, nie wyłączając samego dowódcy, majora Deskura, żądali jeszcze jakiegoś zewnętrznego znaku na dowód, że wojna w istocie się zaczyna. W głębi bowiem duszy jeszcze nurtowały wątpliwości, czy w ogóle to jest możliwe, czy przypadkiem którykolwiek z zebranych nie cofnie się w ostatniej chwili. Bo poza tym uzewnętrznieniem niejako rozkazu rozpoczęcia robienia alarmu w mieście, na które niespodzianie się napada, oświetlenie placu boju, gdy się chce własną ukryć niemoc – najmniej było wskazanym.

Bądź co bądź jednak ułożono plan cały i wyprawa ruszyła na miasteczko, migocące w mglistej dali paru świetlnymi punktami, oświeconymi oknami czuwających jeszcze, a nie spodziewających się nadchodzącej burzy mieszkańców. Pyrkosz, który dla dodania animuszu trochę sobie podchmilił, zapalił słomę w rynku, otoczył mieszkanie z oficerami i sam, wszedłszy do środka, zwrócił się do zebranych z długą i zawiłą przemową. Jak pod Ciołkowem nieszczęsny pułkownik Kozłaninow, tak w Radzynie biedny łyk miejski szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju, szukając u swych wrogów odczucia i zrozumienia. Podzielił też los swego rosyjskiego poprzednika. Major Borozdin – najstarszy oficer wśród zebranych – od razu wyraził zgodę na propozycję apostoła pokoju, a uśpiwszy jego czujność, wysłał ordynansa po żołnierzy. Po krótkiej chwili pozornego zbratania się wybuchnęła nagle ostra, bezwzględna walka. Sprowadzeni żołnierze wcale nie pokojowo wpadli na Polaków. Zakłuty bagnietami padł Pyrkosz wraz z większością swych podkomendnych.

Michałowski szybciej sobie poradził z Kannabichem. Ciężko ranny generał i sterroryzowani oficerowie, przy nim obecni, zostali usunięci z pola walki. Warta główna i straż przy armatach jednym gwałtownym uderzeniem Deskura została rozproszona. Część legła pod uderzeniami kos, reszta rozbiegła się w panicznym strachu. Działa i jaszce bezbronne stanęły do dyspozycji zwycięzców. Lecz jak ruszyć je z miejsca?

– Koni! koni! Pół królestwa za konie! – mógłby być zawołać pan Deskur słowami Ryszarda Trzeciego. Konie były tuż obok w stajni. Lecz żołnierze, widząc, co się święci, już zamknęli drzwi i z różnych otworów rozpoczęli bezładny, lecz huczny ogień na powstańców, oświetlonych blaskiem płonących w rynku stert słomy. Jeszcze chwila oporu i rozpaczliwego wysiłku, by zwycięstwo, które już się Polakom uśmiechało, przechylić na swoją stronę. Lecz już z innej strony szła

odsiecz oblężonym Rosjanom. Część piechoty po załatwieniu się z Pyrkoszem i jego ludźmi, oswobodziwszy oficerów, ruszyła na jedyną teraz siłę polską, walczącą koło stajni artyleryjskich. Zabici i ranni padali gęsto. Wreszcie siła moralna wyczerpała się i wszystko rozprysło się w różne strony.

Deskur z wiernym przyjacielem Jasińskim, zrozpaczeni, pełni zwątpienia w siły powstania i możliwość powodzenia, sami zostali pod miasteczkiem. Na punkcie zbornym, wyznaczonym zawczasu w razie niepowodzenia, nie było nikogo. Biedny pan major postanowił szukać oparcia u swej bezpośredniej władzy – u pułkownika Lewandowskiego. Ruszył samotrzeć pod Siedlce.

Na Podlasiu, w środku olbrzymiego półkola, na którym w nocy 22 stycznia bój wydano, stanęło ze strony polskiej 1500 lichu uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników. Przeciwno sobie powstanie podlaskie miało samej piechoty do 5000; 32 działa z odpowiednią obsługą gotowe były rozpocząć dzieło zniszczenia. Ku pomocy zaś swojej wojska te posiadały tysiąc kilkuset kawalerzystów, zdatnych do szybkiego pościgu czy osłony miejsc zagrożonych. W boju 22 stycznia nie wszyscy żołnierze rosyjscy udział wzięli. Zaledwie 3000 ludzi nocy tej odczuło na sobie oddech otwartej walki – i tak podwójna przemoc w samej liczbie w stosunku do Polaków, nie licząc już przewagi w broni, a przede wszystkim w tężyznie organizacji, opartej na silnej, bezwzględnej dyscyplinie.

A jednak, gdy na szarym, zimowym niebie rozbłysnął świt poranny, zwiastując krajowi pierwszy dzień długiej wojny, nie tylko Polacy, odparci od obiektów ataku, a nawet cofający się z miejsc, przez siebie zdobytych, jak w Kodniu, Łukowie i Łomazach – nie tylko Polacy znajdowali się w rozterce duchowej i niepewności jutra. Rosyjskie wojsko, nawet zwycięskie, nigdzie nie zdobyło się nawet na cień pościgu. Przerwane komunikacje pomiędzy drobnymi, rozsypanymi po kraju oddziałami rodziły chwiejność decyzji, bojażń o los swój jutrzejszy, przenikającą wojsko rosyjskie od góry do dołu, od dowódców kompanij, szwadronów, batalionów do ostatniego żołnierza. Bezwiednie oglądano się dokoła, czy w jakim kącie nie czyha zdrada, bezwiednie, wobec własnej nieświadomości, szukano oparcia w przypuszczalnej wszechwiedzy władz centralnych.

Podlasie, stanowiąc centrum w boju 22-go stycznia, przez powstanie w Augustowskim na północy łączyło się ze skrzydłowym uderzeniem w Płockim, a na południu wiązało się przez Lubelskie z siłą sandomierską. Tam, na skrzydłach, według planu skupione być miały główne siły, tam dzielna szlachta zagonowa z pod Siedlec, Łukowa i Białej miała prawo spodziewać się rozstrzygających, silnych uderzeń, dla których jej drobne, bohaterskie podjazdy i szarpanie wroga miały być tylko pomocą demonstracyjną. W sąsiednich województwach, augustowskim i lubelskim, organizacja spiskowa albo była słaba (Augustowskie), albo też osłabiona aresztowaniami i zdeorganizowana brakiem technicznego kierownictwa.

To też w obu połaciach kraju, będących władzami centrum Podlasia ze skrzydłami, ruch nie przybrał większych rozmiarów. W Augustowskim Zameczek (Cichorski) zebrał kilkuset ludzi sprzysiężonych i z nimi wyruszył z łap pod Suraż, gdzie niespodzianym napadem rozproszył stojącą tam załogę – kompanię piechoty. Czyn, który odegrać żadnej poważnej roli nie mógł, zostawiał zaś bez naruszenia główną arterię ruchu – świeżo zbudowaną kolej z Warszawy do Petersburga. Już w tydzień potem tą drogą będą szły transporty gwardii, przesłanej do Warszawy. W samych zaś łapach, skąd wychodził oddział, złożony właśnie ze służby kolejowej, znajdowało się duże „dépôt” kolejowe, i co ważniejsze, duży most kolejowy przez Narew. Zresztą to przypomnienie wynikało prawdopodobnie z ogólnego wówczas nie oswojenia się z tym potężnym środkiem komunikacyjnym. Ludność bardziej ciążyła ku szosom, drogom bitym, ułatwiającym ruch wozowy, niż ku nieznannej jeszcze nowince z Zachodu – kolei żelaznej. Drugi napad, na Wysokie Mazowieckie, prowadzony następnej nocy, i leśny bój pod Mężeninem, wstrzymujący kolumnę rosyjską w jej przemarszu do Łomży, były dopełnieniem ruchu w Augustowskim, w pobliżu kolei petersburskiej.

W Lubelskim jedyny napad na Lubartów był bliźniaczo podobny do opisanego wyżej napadu Deskura na Radzyń. I tu pierwszym impetem nagłego napadu zdobyto 8 dział – całą baterię. I tu opór żołnierzy rosyjskich, z własnej inicjatywy biegnących z odsieczą, nie pozwolił skorzystać z pierwszego sukcesu. I tu wreszcie krótka bitwa rozprzegła w zupełności niespojęne dłuższą organizacją szeregi polskie, tak, że wodzowie polscy, tak jak Deskur, o świcie znaleźli się bez żołnierzy, sami, z rozpaczą i zniechęceniem w sercu. Gdzie indziej w

tym województwie wobec braku sprężystej i jednolitej władzy wojskowej nie doszło nawet do boju. W różnych miejscach zebrały się mniejsze lub większe grupy, które nie ośmieliły się zająrzeć nieprzyjacielowi w oczy, a nawet niekiedy po prostu rozeszły się (pod Krasnystawem) zaraz po zbiórce.

UDZIAŁ W WALKACH POWSTAŃCZYCH W PUSZCZY BIAŁEJ

Z pamiętnika Bronisława Deskura pt. Dla moich wnuków

Po otrzymaniu wiadomości, że Rogiński część ludzi moich z pod Radzyna zebrał, wyjechałem, aby go odszukać, już sam jeden, wyrzucając sobie, że stracił na próżno dni kilka w towarzystwie, które mnie wcale nie zbudowało. Osądziłem się w sumieniu moim winnym, że na drugi dzień, zamiast szukać Lewandowskiego, nie wróciłem do domu, nie pozbierałem rozproszonych ludzi z oddziału mego. Goniąc za Rogińskim, dostałem się pod Siemiatycze, na drugi dzień po bitwie, skąd Rogiński i Lewandowski pospiesznym marszem poszli do puszczy Białowiejskiej. Za nimi szli Moskale. Rogiński zatrzymał się z Lewandowskim w majątku Śnieżki, tu przyjechawszy, o mało nie dostałem się w ręce Moskali. Zawdzięczam tylko przytomności obywatela Makowieckiego, że mnie z tej matni wydobył. Moskale spalili majątek Śnieżki, jego samego zaś zabili. Gdybym tu był połączył się z Rogińskim lub Lewandowskim, byłoby wszystko w porządku, los jednak chciał inaczej. Kierunek mojej podróży zmienił się: wyprowadzony przez Makowieckiego z pułapki, dostałem się w Łomżyńskie, gdzie po drodze nie obeszło się bez różnych przygód. Przepędziwszy dwie noce w oczeretach na zamrożonej rzece Nur pod Ciechanowcem, gdzie stali Moskale, dostałem się nareszcie pod dach w Warelach, folwarku Karola Kalisza. Tego samego wieczora przyjechał Cichorski (Zameczek). Zostawiwszy swój oddział, z 60 ludzi złożony, o półtorej mili w lasach, nocowaliśmy obydwa w Warelach, gdzie nikogo w dworcu nie zastaliśmy. Nad ranem wpadł do pokoju jeden z sąsiadującej z folwarkiem szlachty zaściankowej, zawiadamiając nas, że sotnia kozaków idzie z Czyżewa. Ubraliśmy się i wyszliśmy na ganek, w mroku jeszcze widać było gromadkę kawalerii na odległość 400 kroków, która stojąc w miejscu, zdawała się obserwować zabudowania folwarczne

Warel. Dworek był postawiony w czystym polu na płaszczyźnie, tak że mowy nie było o ratowaniu się ucieczką. Usiedliśmy zatem w ganku, wyczekując, rychło wezmą nas Kozacy jak swoich. Cichorski miał rewolwer, ja byłem bez broni, los jeden nas czekał, byliśmy przygotowani, że nie wyjdziemy żywcem, jeżeli nie zaraz zginiemy, to wszakże było do przewidzenia, jak sobie z nami Moskwa postąpi, skoro nas w ręce dostanie. Kiedy tak wyczekiwaliśmy, co nas spotka, siedząc na ganku, spojrzałem poza siebie i spostrzegłem błysk kosa za wzgórkim, który był nieopodal od domu.

Przed dworkiem były w czworobok zabudowane gumna folwarczne, tak że Moskałe byli po jednej stronie tych budynków, oddziałek zaś nasz, który Tyszka, adiutant Cichorskiego prowadził, dziwnym natchnieniem wiedziony (bo rozkazu nie miał, żeby do Warel przyszedł) znalazł się po drugiej stronie pomienionych budynków, tak że ani on Moskali, ani Moskale jego nie widzieli. Niespodziewana ta pomoc dodała nam ducha, wstałem z miejsca, podszedłem pod oddziałek nasz, który na wzgórku się pokazał, a kierując się wprost na ściany stodoły, która zasłaniała nas całą swą długością od Motali, doprowadziłem pod nią oddział, tu postawiwszy na rogach ścian czworoboku strzelców, w środku kosynierów i 16 koni kawalerii, którą Pisanko, Małorus, dowodził, czekałem na atak kozaków; ci jednak, obawiając się widocznie zasadzki wyczekiwali, aż się dobrze rozwidni. Kiedym powrócił na moje miejsce w ganku, kozactwo podzieliło się na dwie połowy i pędem puściło się z dwóch stron gumna na dziedziniec, a gdy nadjechali na 20 kroków na rogi stodoły, strzelcy dali ognia, Kozacy zwinęli się w miejscu, dwóch spadło z koni i żyd szpieg, po kozacku przebrany, który ich prowadził, a którego koń zrzucił; wielu rannych od śrutu i loftek Kozacy, podtrzymując na koniach, uprowadzili z sobą, umykając na powrót do Czyżewa. Pisanko puścił się za nimi, ale na wynędziałyach naszych koniach nie mógł ich dogonić. Gdyby się byli Kozacy sformowali, odjechawszy kawałek, i w 50 koni tylko uderzyli na nas, byłiby nas rozbili, bo kosynierstwo nasze pojedynczo pędził rozrzucone po polu za nimi.

Mówią ludzie, że nie ma cudów, ja powiem, że jest siła opiekuńcza, która w takich wypadkach cuda tworzy. Czym wytłumaczyć przyjście Tyszki do Warel, kiedy on sam sobie z tego sprawy zdać nie mógł. Powiedziałem sobie: do trzech razy sztuka się udaje, trzeba się połączyć z pierwszym lepszym oddziałem, nie szukać bezbronny powrotu do oddziałów podlaskich.

W parę dni później z oddziałkiem Zameczka byłem w Sulęcinie, w Ostrołęckiem, tu w kilka dni przyjechał Padlewski Zygmunt objąć dowództwo nad oddziałami piechoty w tej okolicy. Zygmunta Padlewskiego znałem z konspiracji bardzo dobrze. Opowiedziałem mu, jakie koleje przechodziłem po napadzie na Radzyń, i że chcę koniecznie powrócić w moje województwo, bo mogliby mnie uważać za zbiega, a jakby fatalizm jakiś nie dopuszcza mnie do połączenia się z tamtymi oddziałami. Padlewski powiedział mi na to, że nie chodzi o to gdzie, ale co będę robił, że bierze na siebie odpowiedzialność, jeżeli tu mnie zostawią, i dał mi rozkaz na piśmie formowania w Ostrołęckiem oddziału kawalerii, a że Mystkowski miał polecenie od Padlewskiego formowania piechoty, polecił nam wspólnie się wspierać i razem się trzymać. Padlewski poszedł ze swym oddziałem pod Myszyniec nad granicą pruską. Ja zaś z Mystkowskim zacząłem zbierać i organizować oddział. Stojąc we wsi Grządka na Kurpiach tydzień przeszło, gdzie mustrowaliśmy zebranych już ludzi, objedliśmy gromadę zupełnie. Posłał Mystkowski do wójta, aby obliczył, co się gromadzie należy za wyżywienie żołnierzy, lecz ten, przyszedłszy, skoro dowiedział się, o co chodzi, z oburzeniem odpowiedział:

– Cóż to chcecie nam płacić, czy to nie nasz obowiązek dzieci własne żywić, czy my nie tacy Polacy jak wy, żebyśmy mieli brać pieniądze za marną strawę, kiedy wy życie dajecie dla Polski.

Uściskaliśmy pocziwego Kurpia, a łza serdeczna, która cisnęła się nam do oczu, była mu zapłatą.

Wyszliśmy z Grządky w 200 przeszło ludzi, (gdyby była broń, cała ludność kurpiowska stanęłaby pod bronią, nie trzeba było jej werbować). Kurpie przyjmowali nas wszędzie z otwartym sercem i chętnie dzielili się wszystkim, co sami mieli. Nie nadużywaliśmy jednak ich gościnności, bo organizacja powiatowa dostarczała wszystkiego, co potrzebne, z okolicznych folwarków szlacheckich. W trzy tygodnie oddział nasz wzrósł do 700 ludzi. Zadaniem naszym było wyćwiczyć, o ile się da, żołnierza i pościągać broń palną myśliwską, której do 200 sztuk się zebrało, reszta oddziału była uzbrojona w kosy.

Kawaleria, której było do 80 koni, miała lance, a niektórzy po jednym pistolecie lub pojedyncze; terlice na konie sprowadzałem z Warszawy, które się jeszcze przechowały u żydów między starem rupieciem, zakupionym po 1831 r.; w miejsce pałaszy, których było zaledwie dla połowy oddziału, reszta miała rapiery pokojowe, szpady sędziowskie itp. narzędzia sieczne. Do miesiąca maja unikaliśmy spotkania z nieprzyjacielem, chcąc, jak można

było najlepiej, oddział zorganizować. Sztab Mystkowskiego nie miał jeszcze ani jednego fachowego oficera, prócz kilkunastu podoficerów, żołnierzy z wojska regularnego, którzy służyli za instruktorów. Sztab składali: Karol Frycze, technik, i Dąbrowski, brat Jarosława Dąbrowskiego. Ja miałem w kawalerii starych paru żołnierzy z wojska regularnego i dwóch bardzo dzielnych oficerów partyzantki, ale nie fachowych wojskowych.

Dzień 15. maja 1863 r. był wyznaczony przez Moskwę manifestem carskim do złożenia broni przez powstańców i zdania się na łaskę i niełaskę rządu, który według manifestu miał jak najłagodniej postąpić z tymi, którzy broń złożą. Dzień więc 23 na 24 maja naznaczyliśmy do wystąpienia zaczepnie. Traf zdarzył, że doniesiono nam z Ostrołęki o wyruszeniu stamtąd trzech kompanii piechoty i szwadronu huzarów z naczelnikiem żandarmów, majorem Denisewiczem, dla aresztowania naczelnika powiatu naszej organizacji, który mieszkał o kilka mil od Ostrołęki. Zdecydowaliśmy, ażeby na ten oddział moskiewski napaść między Czerwinem a Ostrowiem. Wyruszyliśmy zatem natychmiast z obozu, i obrawszy pozycję w gęstym lesie przy szosie, między wsiami Komorowem i Jeleniami, czekaliśmy w zasadzce na nieprzyjaciela. Mrok zapadł, Moskwa nie nadciągała. Nadjechał nasz kurier, donosząc, że jest w Czerwinie oddział Moskiewski o milę od nas, że tam wypoczywają, że Denisewicz, pijąc z oficerami w cukierni, odgraża się, że zapędzi jutro do Ostrołęki dosyć tej hołoty razem z ich naczelnikami. W gęszczach przy szosie ustawiono po jednej stronie cały oddział piechoty, ja rozdzieliłem moją kawalerię na dwa skrzydła oddziału pieszego, na jednym sam zostałem, na drugim odkomenderowałem oficera Kozłowskiego, polecając mu stanąć po drugiej stronie szosy. Pluciński, członek organizacji pułtuskiej, przyjechał w tym czasie do oddziału i wziął udział w wyprawie. Stanął z Mystkowskim i Fryczem w środku naszej piechoty. Przez Mystkowskiego miał być dany sygnał do ataku. Moskwa około 11-tej w nocy zbliżyła się pod las, wiara, leżąc w gęszczu już kilka godzin, zaczęła chrapać. W awangardzie oddziału moskiewskiego szło pół sotni kozaków, w ariergardzie szwadron huzarów Szpica kozacka, dojechawszy do naszego stanowiska, usłyszała prawdopodobnie chrapanie i zwróciła się do miejsca, zatrzymując maszerujące wojsko. Dowódca Moskali, kapitan Ryżanowski, nie zwracając uwagi, zakomenderował „marsz”, i Moskwa weszła pod nasze strzelby i kosy. Mystkowski strzelił, rozpoczął się ogień na całej linii ciągnących Moskali, w pierwszej chwili upadła Moskwa plackiem na szosę, chcąc uniknąć strzałów, to też kosynierzy skorzystali z tej

chwili i mocno ją poturbowali. Starcie było tak bliskie, że brano się za bary i mordowano wzajemnie.

Niejaki Rawski, furyer naszego oddziału, starszy już człowiek, szamocąc się z Moskałem leżał pod nim, kiedy kosynier rąbał z wierzchu, ale tak silnie, że razy dosięgały i biednego Rawskiego, który następnie ledwo wylizał się z rany. Moskałe po chwili zerwali się z ziemi i przeszli na drugą stronę szosy. Rynażewskiego, którego bardzo żołnierze lubili, wzięli między siebie i krzyżując od ataku kosynierów, karabiny nad nim, unieśli. Moskałe ustępowali, odstrzeliwując się. Jadące w awangardzie kozactwo uciekło. Przejechałem więc pod ogniem na lewe skrzydło, aby uderzyć na huzarów w ariergardzie. Kozłowski ucierał się już z nimi, rozsypanych po polu za lasem huzarów gonili nasi pojedynczo. Dostaliśmy wówczas kilkanaście koni huzarskich i dwa kozackie, trochę karabinków i pałaszy i kilku huzarów do niewoli wzięli.

Major żandarmów Denisewicz jechał powozem w środku kolumny, skąd wyciągnął go za kark Pluciński. Dwóch oficerów, braci Puchałów-Cywińskich ciężko rannych, ośmiu żołnierzy z podoficerem i dwóch szpiegów dostało się w nasze ręce. Denisewicza, Cywińskich i dwóch szpiegów kazał Mystkowski powiesić jako zdrajców Ojczyzny; byli to niestety Polacy. Kilkunastu rannych żołnierzy moskiewskich opatrzył nasz lekarz (jeszcze zanim swoich rannych obejrzał) i na furmankach odesłaliśmy ich do Ostrołęki Moskałom. Naszych ciężko rannych i zabitych było przeszło trzydziestu. Moskali zabitych kilkudziesięciu. Po tej zasadzce cały jeden pluton piechoty został uzbrojony w karabiny moskiewskie.

I ja podreperowałem swoją kawalerię, jakkolwiek z koni huzarskich żadnego użytku nie było, bo nieprzyzwyczajone do takich niewygód, ciągle pod gołym niebem, nie dotrzymali naszym lekkim konikom.

W kilka dni po utarcze pod Komorowem Moskwa porozumiała się przez szpiegów z Pułtuskim i Czyżewem i wszystkie trzy oddziały wyszły na nas na obławę. Unikaliśmy spotkania z przeważającymi siłami. Sześć dni nie rozbieraliśmy się i nie byli pod dachem, wciąż alarmowani, nie odstępując od koni, spoczywaliśmy tylko po parę godzin. Nareszcie Moskwa strudzona marszami i kontrmarszami, rozeszła się na swoje stacje. My zaś parę dni wypocząwszy, postanowiliśmy zrobić nową zasadzkę. W tym celu dnia 13 maja wyruszył nasz oddział w stronę Czyżewa. Na tę nieszczęsną wyprawę wybrali się z nami: Pluciński, jak zawsze na ochotnika, Podbielski, oficer generalnego sztabu moskiewskiego, świeżo przybyły do oddziału z Petersburga, dla objęcia

dowództwa, Ostaszewski, emigrant z 1848 r., oficer kampanii węgierskiej i Dąbkowski Polikarp, który przy nas oddział sobie sformował. Przystępując pod Zaręby, między stacjami kolei Czyżewem i Małkinią, Frycze wziął trzysta piechoty i poszedł pod Małkinie, aby tam stojących Moskali zaalarmować, było bowiem do przewidzenia, że Małkinia, obsadzona słabymi siłami moskiewskimi, zatelegrafuje do Czyżewa o pomoc, gdzie stał generał Tol z silną załogą. Kiedy Frycze poszedł pod Małkinie, my stanąwszy przy torze kolejowym w małej kępcie lasu, przez który kolej przechodziła, popsuliśmy kolej tak, aby Tol jadąc do Małkini na pomoc, znalazł przeszkodę, a kiedy pociąg wpadnie na zepsute szyny, mieliśmy na jadących Moskali uderzyć. Gdy się piechota uszykowała przy torze, wysłałem Kozłowskiego na lewe skrzydło z dwoma plutonami, sam zostałem na prawym z resztą kawalerii od strony Małkini.

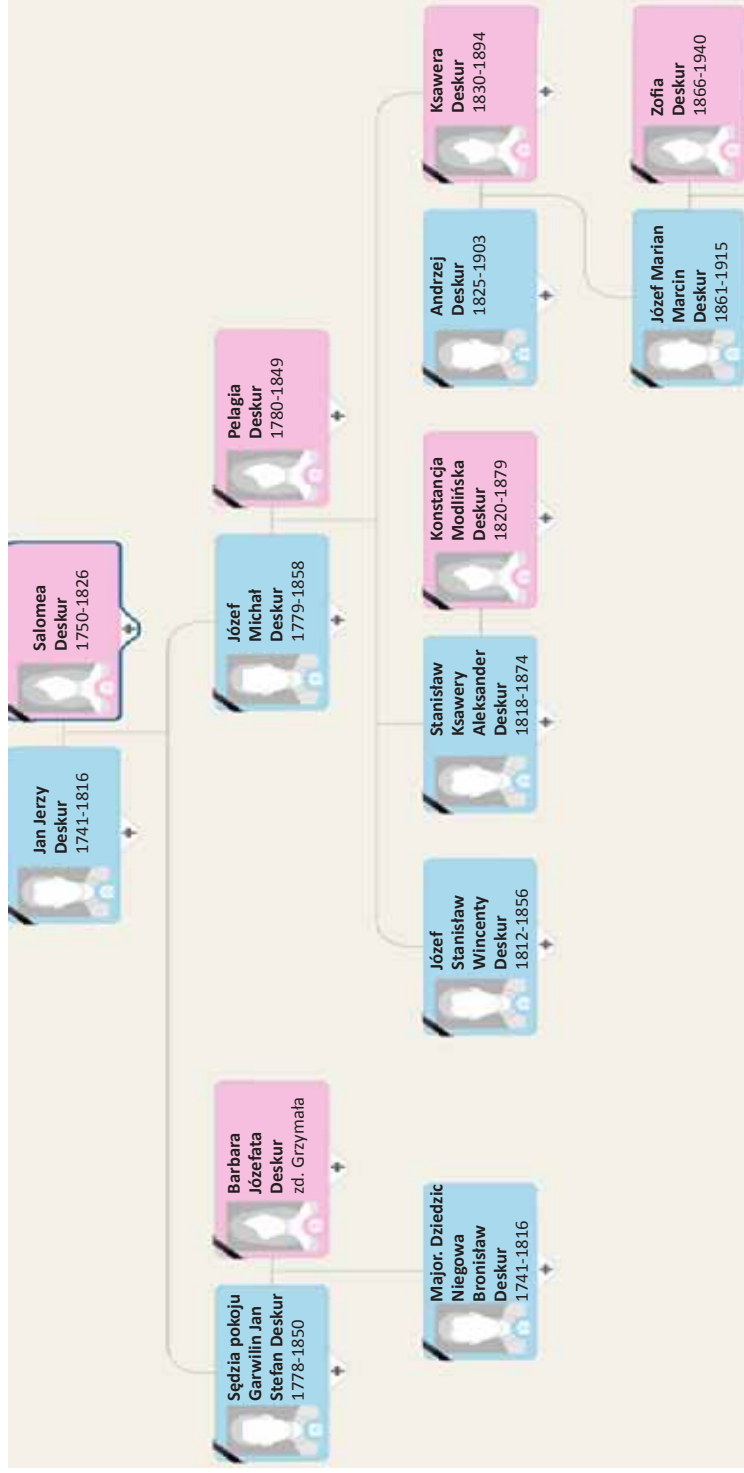
Podbielski proponował Mystkowskiemu (który jeszcze dowództwa na niego nie zdał), aby obsadził tor kolejowy z dwóch stron, ale Mystkowski nie posłuchał i postawił cały oddział z jednej strony od Zaręb.

Tak rozłożeni, czekaliśmy na pociąg z Czyżewa z wojskiem. Po paru godzinach, usłyszeliśmy świst lokomotywy. Pociąg się zbliżył do lasku powoli, bo Tol został uwiadomiony przez budnika kolejowego, że powstańcy kolej popsuli, ale niedokładnie, w którym miejscu. Pociąg przygotowany, że trafi na przeszkodę, zaledwie się ruszał i tak nadjechał na odbite szyny. Pierwszych kilka wagonów wskutek karambolu pękło. W nich były konie kozackie, które powyskakiwały z kawałkami desek z wagonu, do których były przypięte, reszta wagonów z wojskiem ocalała przy słabym karambolu. Żołnierze moskiewscy wyskoczyli z wagonów na stronę nie obsadzoną przez powstańców i z pod wagonów jak z fortecy zaczęli strzelać do naszych, którzy się rzucili na pociąg. Tol z 12 kozakami, którzy połapali konie, na koniu kozackim uciekł do Czyżewa, nie czekając rezultatu bitwy. Kozłowski, który stał na lewym skrzydle od strony Czyżewa, prześlepił uciekającego Tola, a mógł go wziąć łatwo. Niestety mieć chciało, że pierwsi, którzy podbiegli do wagonów jak Podbielski, Pluciński, Ostaszewski, padli od strażów w pierwszej chwili. Mystkowski w obydwie nogi, ranny strzałem z pod wagonu, podtrzymywany przez kosynierów, trzymał się jeszcze. Widząc rannego Mystkowskiego, posłałem mego adiutanta Stanisława Osmólskiego, ażeby mu podał konia swego. Kiedy Osmólski przy pomocy kosynierów wsadził Mystkowskiego na konia, ten, zebrawszy ludzi, jakich miał najbliżej siebie, objechał pociąg i rzucił się na oślep między Moskali; dostał kulą w piersi i spadł z konia.

Nasi zaczęli rejterować, Moskwa wypadła bagnetem z lasku. Kosynierzy, po zabiciu Mystkowskiego nie dotrzymani placu. Moskwa ścigała nas w czystym polu, strzelając bez przerwy. Kozacy, którzy połapali konie, chcieli uderzyć na rozsypanych naszych strzelców z prawego skrzydła, ale garstka naszej kawalerii, która odstępowała stępo w zasłonie piechoty, wstrzymała ich zapędy. Kiedy tak z pod lasu w ariergardzie ustępujemy, Dąbkowski, naczelnik oddziału (o którym wyżej wspomniałem) wskoczył z tyłu na mego konia, a że był dość ciężkim, bo otyłym, złamał krzyże memu małemu konikowi, usiadł na ziemi przed nami. Na szczęście było kilkanaście koni kozackich złapanych, które szły luzem, dałem więc Dąbkowskiemu jednego, sam na drugiego musiałem się przesiąść. Piechota pomału zaczęła się zbierać do gromady, rozsypana na kilometrze szerokości w polu. Nie widząc Kozłowskiego na lewym skrzydle piechoty, posłałem Józefa Trębickiego, kawalerzystę, pod ogniem nieprzyjaciela, aby go odszukał i polecił, odstępować, zasłaniając rozbitą piechotę. Trębicki, odważny młodzieniec, przejechał szczęśliwie pod ogniem nieustającym, i rozkaz spełnił. Zarębska zasadzka to straszna klęska dla województwa Płockiego, a nawet dla całego po wstania, zginęli w niej najdzielniejsi i najwięcej obiecujący ludzie.

Kiedyśmy wchodzili do wsi Zaręb, strzały moskiewskie ustały, wojsko pomaszzerowało w stronę Czyżewa. Zebraliśmy na polu i w lasku kilkudziesięciu rannych i przeszło czterdziestu zabitych. Ciała: Plucińskiego, Podbielskiego, Ostaszewskiego i Mystkowskiego, Moskwa, jako trofea fatalnej dla nas bitwy, z sobą zabrała. Nad rannymi Moskwa okropnie się pastwiła. Znaleźliśmy na pobojowisku naszego żołnierza od kosynierów, akademika z Warszawy, (którego nazwiska sobie nie przypominam), z wyłupionymi bagnetem oczami, z oberżniętym językiem, uszami i innymi częściami ciała. Fiałkowski, doktor oddziału, opatrzył w Zarębach rannych. Nadszedł z pod Małkini Frycze i objął dowództwo nad piechotą Mystkowskiego.

Powstańcy potyczką i forsownym marszem pod Zarębą byli znużeni bardzo, należało jednak oddalić się jak najwięcej od Czyżewa, aby ocalić rannych, wypadało więc noc jeszcze całą maszerować, śpiących po drodze piechurów zmuszeni byliśmy budzić lancami. Nie lepiej było i z kawalerią, która na koniach drzemała, świtanie przyszliśmy do obozu w lesie, gdzie zastałem świeżych kilkanaście koni. Hr. Ostrowski z Płockiego przyszedł zaciągnąć się do oddziału kawalerii z kilkoma ludźmi ze swej służby, wszyscy na koniach pół krwi angielskich. Z nim przyszedł także młody obywatel Zembrzusi ze swym służącym z Pułtuskiego.



Drzewo genealogiczne rodu Deskurów



Dwór Grzymałów widok współczesny w trakcie remontu
(Pibwl - Praca własna, CC BY-SA 3.0, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=5613818>)



Dwór Grzymałów



Kardynał Andrzej Maria Deskur
(1924-2011)



Herb rodu Deskurów



Postać majora Deskura postanowiono uwiecznić okolicznościową tablicą w Deskurowie i książką pt. Major Bronisław Deskur – przyjaciel i obrońca włościan. Pamięć o człowieku, który był dobroczyńcą w świadomości naszej Małej Ojczyzny.

Pod Zarębami koń mój spłoszony spiął się i upadł na zwalone drzewo, przy czym tak silnie uderzyłem się w bok, że musiałem wyjechać na parę dni z obozu. Zajechawszy do Bronikowskich, kazałem sobie postawić kilkadziesiąt baniek, a w trzy dni później wróciłem objąć moją komendę. W tym czasie przysłano mi z Warszawy na instruktora, oficera z 1831 r. Walewskiego, ale Moskwa nie dawała nam spoczynku od zarębskiej bitwy, nie było czasu na ćwiczenia kawalerii. Walewski jednak z każdej sposobności korzystał, żeby młodego żołnierza czegoś nauczyć. Dąbkowski ze swym oddziałem poszedł pod Zambrów, a że Moskwa za nim goniła, zdążył do naszego obozu. Moskal, chcąc się przekonać o jego siłach, a nie mogąc widocznie znaleźć szpiega, wysłała na ochotnika jednego z żołnierzy, Moskala, który pod pozorem, że chce przejść do naszych szeregów, dostał się za pomocą organizacji do oddziału Dąbkowskiego. Równocześnie wyszedł do oddziału Dąbkowskiego z Ostrołęki oficer moskiewski Drozdowski, z tej samej kompanii, w której pomieniony żołnierz służył. Drozdowski, spostrzegłszy znanego mu żołdatę, wziął go natychmiast na indagację i pokazało się, że go major batalionu wysłał, aby obliczył siły oddziału, a po kilku dniach zdezerterował i doniósł, co widział. Żołnierza powieszono, skoro mu dowiedziano szpiegostwa.

Dąbkowski w parę dni później przyszedł do naszego obozu nad wieczorem, a zanim przyjechał kurier, donosząc, że Moskal za śladem Dąbkowskiego dąży. Obóz Fryczego pod Łączką (tak się miejscowość nazywała) od tygodnia prawie spoczywał w bardzo dobrej pozycji jako schronienie, bo na środku ogromnych błot w lesie, gdzie był kawałek suchego gruntu, a do tego miejsca przez błota które zaledwie piechotą przejść można było, prowadziła jedyna grobelka, na której zaledwie dwa konie obok mogły się zmieścić. Frycze tak się czuł bezpiecznym w tym schronisku, że nie rozstawił żadnych placówek. Lasocki, żołnierz z kampanii węgierskiej 1848 r., który był w sztabie Fryczego, i ja, zwracaliśmy Fryczemu uwagę, na konieczną potrzebę opasania łańcuchem wedet obozu, bo choćby Moskale szpieg nie prowadził, to za śladem Dąbkowskiego po piaskach ostrołęckich trafi do naszego obozu; następnie proponowaliśmy, aby będąc w tak dobrej pozycji, bitwę przyjął, obstawiając odpowiednie punkty po za błotem, nie zdołało to jednak przekonać Fryczego, utrzymywał, że Moskal do nas nie trafią. Wysłałem ja wszakże moich kawalerzystów na dość odległe wedety za błota i tak noc spokojnie przeszła. Nadedniem kazałem konie pokulbaczyć i przy koniach spoczywać. Frycze,

jakkolwiek wiedział od kuriera, że Moskale idą, kazał zabić wołu i kotły nastawić, zostawiając zupełną swobodę żołnierzom. W obozie śmiał się z mojej przezorności, a tym samym dał mi do zrozumienia, że mam stracha, ja zaś utrzymywałem, że koni nie mam do stracenia, aby je w błocie zostawić, jak mi zamkną drogę jedyną, którą wyjść mogę z tego więzienia. Dla piechoty nie jest ono takie straszne, bo i błotami, jak kto ma uciekać, ucieknie.

Moje wedety zmieniane, wciąż stały, koło dziesiątej wysłałem podoficera Józefa Kubickiego, (o którym wyżej w odsyłaczach wspomniałem), aby poluzował wedety. Zaledwie tenże dojechał do pierwszej, strzał padł, a Moskale prawie na plecach Kubickiego wpadli do obozu. Kawaleria, ponieważ była gotowa, jednocześnie wsiadła na koń i wyjechała z błota grobelką wyżej wzmiankowaną. Ruszyłem natychmiast zatrzymać pierwszy atak Moskali, którzy przyszliz wąską drożyną w gąszczu sosnowym i rozsypali się już po błotach. Na ciasnej jednak drodze nie mogłem, jak tylko dwójkami jechać, rozwiniąć się było niepodobna. Moskale, usunąwszy się z drogi w gąszcz, z obu stron dróżki dali do nas ognia. Zleciało kilka lanc, ale kawalerzysta na szczęście żaden; strzał był bardzo bliski, więc zgórowali. W tym zamieszaniu brakło mi trzech z kawalerii. Walewski, instruktor, który pozostał z tyłu, przy wsiadaniu na konia, dostał kulą w czoło i poległ na miejscu. Podoficer Lebl, który pierwszy na dróżkę wyjechał, prawdopodobnie został odcięty od nas i szeregowiec Barzykowski, który wprowadził z konia zleciał, ale widziałem, jak się podniósł zdrowy zupełnie. Piechota nasza bez tornistrów zaledwie zdołała złapać za broń, kiedy część Moskali była już w obozie, przez błota przeszedłszy. Drozdowski, oficer, jeszcze w mundurze rosyjskim, złapał jeden pluton uzbrojony w karabiny z bagnetami, i z nim uderzył na bagnety, wołając przez zapomnienie: „na sztyki” po moskiewsku. Któryś z naszych, myśląc, że zdradza, ponieważ po moskiewsku zakomenderował, strzelił do niego z tyłu. Ciężko ranny, Drozdowski upadł. Frycze z kosynierami trzymał się czas jakiś, ale dostał kulą w brzuch, kosynierzy się rozpiechli, unosząc go z sobą. Cała piechota, której było do tysiąca, rozsypała się po błotach. Ja szczęśliwie wyszedłem z kawalerią z tej błotnej pułapki, w której mogłem wszystkie konie zostawić. Sformowawszy się, przejechałem na gościniec, który dzielił las na dwie połowy i zatrzymałem się po drugiej stronie gościńca. Moskwa, zabrawszy rannego Drozdowskiego, kotły nasze i furgony, wyjechała na ten sam gościniec co i ja. Wysłałem oficera Rafalskiego, aby

podjechał bliżej gościńca i przyjrzał się, gdzie Moskwa pociągnie i co zabiera. Rafalski wyjechał w pole, przy gościńcu zszedł z konia na sto kroków od kolumny moskiewskiej i przyglądał się spokojnie. Tak Moskalom tym zaimponował, że ci, zobaczywszy go, wstrzymali się, ale po chwili namysłu ruszyli dalej, nie zaczepiając go. Prawdopodobnie obawiali się zasadzki innego jakiego oddziału. Moskali było cztery rot (kompania) piechoty i jeden szwadron huzarów na siwych koniach, z którego to szwadronu mieliśmy w naszej kompanii trębacza, Feliksa Szymanowskiego rodem z Lublina. Zdezercerował on Moskalom przed bitwą zarębską z Ostrołęki. Feliks ów utrzymywał, że w tym szwadronie było bardzo dużo Polaków, że gdybyśmy byli się z nimi starli, byłiby przeszli, bo często o tym w szwadronie Polacy mówili, że przy okazji przejdą. Tym razem Moskale nie użyli tego szwadronu, trzymali go w ariergardzie podczas bitwy.

Do wsi Poręba zanieśli rannego Fryczego, a kiedym tam przybył na drugi dzień, już dogorywał dzielny ten żołnierz. Jeżeli grzeszył czym Frycze, to tylko brawurą swoją, bo nadzwyczajnej był to odwagi człowiek. Po śmierci Fryczego objął chwilowo dowództwo Broniewski, uczeń szkoły wojskowej w Kuneo. W parę tygodni później przystano z Warszawy niejakiego Jasieńskiego, na dowódcę oddziału Ostrołęckiego. Dąbkowski znowu się oddalił. Fatalizm jakiś prześladował oddział ostrołęcki, w którym tylu dzielnych ludzi zginęło. Mojem marzeniem było dostać się w Podlaskie, jakkolwiek żał mi było opuszczać oddział, który się już dobrze prezentował i był złożony z inteligentnej i dzielnej młodzieży, dla której swoim kosztem sprowadziłem kulbaki i trochę pałaszy przez tamtejszego obywatela z Warszawy. Nie brakło więc już nam rynsztunku i broni dla lekkiej kawalerii, mimo to jednak, gdy nastąpiła mi się sposobność spotkania z miejscowym komisarzem rządu narodowego, prosiłem go, aby mnie przeniesiono w Podlaskie, a w parę tygodni później odebrałem nominację rządu narodowego na majora kawalerii, z poleceniem, abym się udał w powiat łukowski w Podlaskie, gdzie pułkownik Heidenreich (Kruk) formuje kawalerię, jako straż przyboczną swoją, której dowództwo mnie powierza. W tym czasie bowiem pułkownik Heidenreich został mianowany naczelnikiem wojskowym województwa Podlaskiego. Dowództwo zaś mojej kawalerii ostrołęckiej poprzednio jeszcze zdałem rotmistrzowi Kozłowskiemu.

BITWY STOCZONE W POWSTANIU STYCZNIOWYM PRZEZ MAJORA BRONISŁAWA DESKURA W PUSZCZY BIAŁEJ

22 stycznia 1863 roku w nocy partia powstańcza zorganizowana przez mjr Bronisława Deskurę uderza na rosyjski garnizon w Radzynie. Oddział (40 strzelb i 100 kos) zdobył 10 armat, których zabrać nie mógł z powodu braku ludzi i koni. Odcięty odwrót od domu zmusił go do poszukania oddziału powstańczego. Po wielu dniach tułaczki dotarł do oddziału Władysława Cichorskiego, ps. „Zameczek”.

15 lutego 1863 roku wziął udział w potyczce pod Warełami u boku płk Cichorskiego. W kilka dni później z rozkazu Zygmunta Padlewskiego formuje oddział kawalerii. Zygmunt Padlewski polecił Bronisławowi Deskurze i Ignacemu Mystkowskiemu: „(...) wspólnie się wspierać i razem się trzymać” (Bronisław Deskur, *Dla moich wnuków*, s. 53).

„(...) w trzy tygodnie oddział nasz wzrósł do 700 ludzi. Zadaniem naszym było wyćwiczyć, o ile się da żołnierza i pościągać broń palną myśliwską, której do 200 sztuk się zebrało, reszta oddziału była uzbrojona w kosy. Kawaleria mjr Deskury była uzbrojona w lance, a niektórzy mieli po jednym pistolecie lub pojedyncze, terlice na konie sprowadzał Major z Warszawy. Połowa oddziału była uzbrojona w pałasze, reszta miała rapiery pokojowe, szpady i inną broń sieczną”.

4–5 maja 1863 roku oddział mjr Deskury bierze udział w bitwie pod Stokiem, między wsiami Komorowo i Jeleniami. Mjr Bronisław Deskur tak opisuje udział w bitwie swojego szwadronu: „Przejechałem więc pod ogień, aby uderzyć na huzarów w ariergardzie. Ja podreperowałem swoją kawalerię” (jw. s. 54). Wkrótce po bitwie pod Stokiem ppłk I. Mystkowski postanawia na czele 1200 żołnierzy „rozbić wojska nieprzyjacielskie pod dowództwem gen. mjr Tolla i opanować linię kolejową lub ją zniszczyć”.

13 maja 1863 roku powstańcy urządzili zasadzkę na rosyjski pociąg wojskowy pod Ketlanką w kierunku północno-wschodnim od Małkini. Płk Mystkowski popełnił tu jednak poważny błąd, gdyż piechotę i strzelców ustawił tylko po jednej stronie toru. Reszty dopełniła zdrada dróżnika kolejowego, który uprzedził jadących pociągiem żołnierzy o rozkręceniu szyn. Pociąg jechał

ostrożnie, mimo że wypadł z torów to jednak żołdaci rosyjscy potrafili zadać powstańcom poważne straty. Kawalerzyści mjra Deskura walczyli dzielnie. Adiutant Deskura Stanisław Osmólski oddał rannemu Mystkowskiemu swego konia, pozostali spisali się dobrze osłaniając wycofującą się piechotę.

Zarębska zasadzka zakończyła się klęską: zginęli w niej najbardziej obiecujący ludzie, którzy mogli być doskonałymi dowódcami powstania: kpt Podbielski, kpt Ostaszewski, inż. Pluciński, ojciec „Puszczy Białej” ppłk Ignacy Mystkowski. W bitwie tej kontuzjowany został również mjr Bronisław Deskur i musiał przez kilka dni leczyć się w domu Bronikowskich. Po kilku dniach wrócił do oddziału.

23 maja 1863 roku – bitwa pod Łączką. Dowództwo nad rozbitym rozdziałem pod Ketlanką obejmuje płk Karol Frycze. Oddział przedarł się przez posterunki rosyjskie i „zaszył się w uroczysku bagienno-leśnym „Bykowce” pod Łączką w pobliżu Długosiodła. Uroczysko okazało się niebezpieczną pułapką dla powstańców. Po śladach oddziału Dąbkowskiego dotarli Moskale. Kawaleria Deskura cały czas czekała przygotowana na atak Moskali. Płk Karol Frycze lekcewał ostrzeżenia Deskura, czym przypłacił rozbięcie oddziału i własną śmiercią. Mjr Deskur tak opisuje walkę kawalerzystów: „Moje wedety zmieniały się i wciąż stały w pogotowiu: koło 10 rano wysłałem podoficera Józefa Kubickiego, aby poluzował wedety, zaledwie tenże dojechał do pierwszej padł strzał, a Moskale prawie na plecach Kubickiego wpadli do obozu. Kawaleria ponieważ była gotowa jednocześnie wsiadła na konie i wyjechała z błota grobelką, wyżej wzmiankowaną. Ruszyłem natychmiast zatrzymać pierwszy atak Moskali, którzy przeszli wąską drożyną w gęszczu sosnowym i rozsypali się już po błotach” (jw. s. 59).

Bitwa pod Łączką mimo zaciętej obrony zakończyła się rozbięciem oddziału. Dowódcą rozbitego oddziału po śmierci płk K. Fryczego został płk Wacław Maksymilian Broniewski. Była to ostatnia bitwa mjra Bronisława Deskura w Puszczy Białej.

Tak wspomina mjr rozstanie z oddziałem: „Mojem marzeniem było dostać się w Podlaskie, jakkolwiek żał mi było puszczać oddział, który się już dobrze prezentował a był złożony z inteligentnej i dzielnej młodzieży. (...) gdy nastroczyła mi się sposobność spotkania z miejscowym komisarzem rządu narodowego prosiłem go, aby mnie przeniesiono w Podlaskie, a w parę tygodni później odebrałem nominację rządu narodowego na majora kawalerii, z poleceniem abym się udał w powiat Łukowski w Podlaskie, gdzie płk Hajdenreich (Kruk) formuje kawalerię”.

ŻYCIE NA EMIGRACJI PO POWSTANIU STYCZNIOWYM

Po bitwie pod Łączką mjr Bronisław Deskur opuszcza Puszczę Białą, a kilka tygodni później otrzymuje nominację na majora kawalerii i obejmuje dowództwo nad oddziałem jazdy, sformowanej przez płk Heindreicha (Kruka) w powiecie łukowskim, jako jego straż przyboczna.

Pod koniec czerwca 1863 roku Bronisław Deskur objął dowództwo nad kawalerią (około 130 jeźdźców). Brał udział w niefortunnych bitwach między Koniową a Nadrybiem, pomimo niekorzystnych warunków terenowych kawaleria mjra Deskura spełniła swoje zadanie walcząc dzielnie z kozakami. Następnie otrzymuje rozkaz od gen. „Kruka” wyjazdu do Galicji celem sformowania lotnego dywizjonu Strzelców Konnych. Otrzymał na ten cel 30 000 rubli. W połowie sierpnia po wielomiesięcznej rozłące spotyka się z żoną w Krakowie. W Galicji zostaje aresztowany i uwięziony we Lwowie, a następnie przewieziony do więzienia w Ołomuńcu. Udaje mu się zbiec z tego więzienia. Szczęście mu jednak nie sprzyja i ponownie zostaje aresztowany i uwięziony w Rzeszowie i przewieziony do Opawy. Z tego więzienia również udaje mu się zbiec.

Na początku marca 1864 roku major Bronisław Deskur opuszcza Galicję – żegna się z krajem. Mieszka w Dreźnie, tam nawiązuje kontakty z Paszkowskim, ks. Kotkowskim i Janem Karłowiczem, który był z ramienia Rady Narodowej naczelnikiem Policji w Warszawie. Zawiązują oni na emigracji Towarzystwo Obowiązku Polskiego do Walki z Rosją. Towarzystwo nie miało większego znaczenia.

Następnie Bronisław Deskur wyjechał przez Strasburg do Paryża. Żona powróciła na Litwę do czwórki małych dzieci. Oszczędności, jakie miał przekazać żonie. Na emigracji żył ze skromnego zasiłku otrzymanego od rządu francuskiego. W Paryżu mieszkał przy Battignelles. Opiekę nad emigrantami sprawował Dybowski, również emigrant 1831 r., który pomógł znaleźć pracę Bronisławowi Deskurowi w Destylarni Wódek na Baulwar Sewastopol. Ze wspomnień Bronisława Deskura:

„Cały dzień prawie roboczy przepędzałem w piwnicy fabrycznej, bo tam byłem zajęty przetaczaniem beczek. Raz jeden z uwryerów ofuknął mnie, dlatego się nie spieszę z odbiorem beczek podawanych przy wynoszeniu z

piwnicy; przenosząc, niewprawny w ręczną robotę omdlałem, machając rękami dzień cały i chwytając podawane beczutki. Otóż drugi uwyr, który stał za nim, a z którym rozmawiałem w porze wypoczynku południowego, opowiadając mu o naszym powstaniu, zgromił swego kolegę objaśniając go, że jestem emigrantem nie wyuczonym robotnikiem. Od tej pory, jak tylko była cięższa robota, poczciwi Francuzi nie dawali mi robić, dając lżejsze jakieś zajęcie”.

Nieprzywykły do ciężkiej pracy fizycznej Bronisław Deskur zachorował z przepracowania i stracił posadę. W swoich pamiętnikach napisał: „rozmyślając nad moim położeniem przyszło mi na myśl udać się do Lure (...) gdzie swego czasu ojciec mój był komendantem placu (...), a o którym to mieście wiele słyszałem z opowiadań ojca”.

Wyjazd mógł polepszyć fatalne położenia mjr Deskura wiązałoby się to ze znalezieniem „łatwiejszego i lżejszego zarobku”. Napisał list do matki, „aby mu wysłała deliberacją miasta Lure, którą w domu widziałem. Majątkowe moje interesa w kraju były w opłakany stan. Pan Bielski – pułkownik rosyjski potracił żonę na pierwszą ratę, jaką miał opłacić 80.000 zł za inwentarze, które jak utrzymywał – powstańcy zabrali i resztującej sumy kupna rat nie płacił. Majątek oddał swemu synowi utracjuszowi, który nie płacąc rat Towarzystwa Kredytowego doprowadził do sprzedaży Horostyty na licytacji za zaległe raty”.

Bronisław Deskur wiedziony był chęcią poznania miasteczka Lure, w którym stacjonował jego ojciec i bronił kilkakrotnie przed atakami żołnierzy koalicji antynapoleońskiej.

Ojciec Bronisława, Jan Deskur po wielu perypetiach wojennych został wcielony do armii rosyjskiej. Oto kilka faktów z życia Jana Deskura świadczących o tym, jak ciężki był los wielu Polaków w tamtych czasach:

- brał udział w powstaniu Kościuszki pod Wilnem, był ranny w głowę;
- był wzięty do niewoli i wcielony do armii moskiewskiej;
- kilka lat upłynęło, zanim jako jeńiec dosłużył się stopnia oficera, później szybko awansował – został kapitanem;
- prawością charakteru zasłużył sobie u wrogów na zaufanie;
- w czasie jednej z misji uratował od samobójczej śmierci Geismara na wyspie Korfu i zaopiekował się niedoszłym samobójcą; Geismar szybko awansował jako człowiek inteligentny i Rosjanin – został generałem; Jana Deskura zawsze nazywał: *mon cher papa* (ojciec);
- był ojcem chrzestnym Bronisława, obdarowywał go podarkami;

- w czasie kampanii napoleońskiej chciał wziąć dymisję z wojska, gdyż jego trzech braci służyło w wojsku polskim, dwóch w Legionach Polskich z Napoleonem, Jan musiał służyć w armii nieprzyjaciela.

Kolejne fakty z życia Jana Deskura:

- nie ufał Napoleonowi, był przekonany, że dla Polski nic nie zrobi, podobnego zdania był Tadeusz Kościuszko;
- wkroczył z wojskami koalicji do Francji;
- pod fortecą Belfort w miasteczku Lure założono magazyn, który miał strategiczne znaczenie;
- w 16. roku życia dostał się do niewoli rosyjskiej, nie zdobył wyższego wykształcenia, ale cały czas pracował nad sobą i nauczył się języka francuskiego, dlatego został komendantem miasta Lure;
- w Lure przebywał przez cały okres pobytu wojsk sprzymierzonych, miasto było też punktem, przez który przechodziły te wojska;
- Francuzi nie pogodzili się z okupacją wojsk sprzymierzonych i w zasadzce zastrzelili generała austriackiego;
- brygada austriacka w odwecie chciała zrabować i spalić Lure;
- Jan Deskur z narażeniem życia na czele załogi przeciwstawił się rabunkom; podobne gwałty powtarzały się wielokrotnie, a Jan Deskur osłaniał mieszkańców Lure oraz okoliczne miejscowości;
- gdy wojska sprzymierzonych wycofywały się z Francji Rada Muncypalna Lure i gminy wysłała deputacje do cesarza Aleksandra I z podziękowaniem za mianowanie naczelnikiem tego obszaru człowieka, któremu mieszkańcy zawdzięczają życie i mienie;
- cesarz wzruszony wdzięcznością obywateli Lure ofiarował Janowi swój zegarek i upoważnił go do dysponowania zapasami magazynowymi; Jan oddał te zapasy Radzie Muncypalnej;
- gdy Jan Deskur wyjeżdżał z Lure mieszkańcy wręczyli mu „Deliberację” „Zapewniając o wiecznej wdzięczności miasta z nadmienieniem, że jeśli kiedy będzie miał dzieci, żeby przysłać syna do Lure, a obowiązkiem miasta będzie dać mu edukację i los mu zapewnić”;
- kilka lat później wdzięczni mieszkańcy Lure przekazali Janowi parę doskonałych pistoletów.

Długo wahał się mjr Bronisław Deskur, czy wypada skorzystać z życzliwości mieszkańców Lure. Po kilku wizytach delegacji mieszkańców tego miasteczka i z myślą o ciężkim losie rodziny (żony i czwórki małych dzieci) zdecydował się

zamieszkać w Lure. Został serdecznie przyjęty przez mieszkańców, jednocześnie otrzymał stanowisko agenta asekuracji na życie Kampanii Angielskiej „Gresham” (kampania dawała największy procent swoim agentom). Pomoc, którą udzielali Francuzi Bronisławowi Deskurowi wzruszyła go, gdyż część z nich była już ubezpieczona w innych firmach.

Dumny major, nie chcąc nadużywać gościnności zrezygnował z tej pracy. Po rezygnacji z pracy w Lure, Bronisław Deskur za pomocą rekomendacji obywateli Lure otrzymał pracę w sąsiednich gminach i miasteczkach. Często był zapraszany na wystawne obiady. Jak sam napisał „Tęsknota jednak za krajem, za żoną i dziećmi, nie pozwalała mi swobodnie używać tych przyjemności życia. Pisałem list za listem do żony, nagląc, aby jak mogła najspieszniej załatwiła się z interesami w kraju i przyjeżdżała z dziećmi do Lure” (Bronisław Deskur, *Dla moich wnuków*, s. 93). W końcu udało się żonie załatwić wszystkie sprawy i przez Drezno już cała szczęśliwa rodzina przyjechała do Lure.

Tak mjr Deskur wspomina przyjęcie przez mieszkańców w swoich pamiętnikach: „Kiedyśmy zajechali na dworzec w Lure, zastaliśmy wielu zgromadzonych mieszczan. Po serdecznych powitaniach zabrał nas jeden z obywateli do swego powozu i zawiózł do naszego mieszkania. Dojeżdżając do domu, spostrzegłem drzwi otwarte, jakkolwiek klucz miałem w kieszeni: na ganku stał właściciel domu Juliusz Parmentier z ząbką swą małżonką, zwyczajem słowiańskim przyjęli nas chlebem i solą (znał doskonale historię Polski). Jakie było nasze zdziwienie, kiedy wszedłszy do domu zastaliśmy wszystko, czego urządzenie domu wymaga, łóżeczka nawet dla czworga dzieci załane, kuchnia w potrzebne naczynia zaopatrzona i przygotowany obiad, na który nas gospodarz domu zaprosił” (jw., s. 95).

Żona Bronisława zapadła na ciężką chorobę, zajął się nią doktor z Lure, a następnie dr Raciborski, znany lekarz w Paryżu i wyleczył ją po dłuższej kuracji. Major Deskur otrzymał pracę jako reprezentant dwóch domów prowadzących sprzedaż win burgundzkich i szampańskich, co przynosiło dobry zysk. Z czasem, po odzyskaniu 20 000 franków za majątek Horostyty Bronisław Deskur założył sklep. Jak sam napisał w pamiętnikach, że „klientelę miał znaczną”.

Po ośmiu latach pobytu we Francji Bronisław zapada na zdrowiu, gnębiony tęsknotą za krajem. Lekarstwem na to był powrót do Ojczyzny.

W 1872 roku Bronisław Deskur wraz z rodziną powraca do Małopolski, gdyż do Horostyty leżącej w zaborze rosyjskim powrócić nie może. Dzierżawi majątek Niebytów w Kałuskim. Następnie zajmuje się fabryką maszyn rolniczych

kupioną od J. Przygodzkiego, przeniesioną do Lwowa. Po kilku latach wobec konkurencji musi ją zamknąć. Pracuje jako nadzorca polowań w Karpatach w lasach księcia Sapiehy.

W 1894 roku książę Adam Sapieha daje mu zajęcie na czas Wystawy Krajowej we Lwowie. Działa społecznie i jest współzałożycielem Lwowskiego Towarzystwa Demokratycznego, następnie działa w Stronnictwie Ludowym, napisał broszurę pt. Krótki rys dziejów Stronnictwa Ludowego.

Major Bronisław Deskur umiera we Lwowie 16 sierpnia 1895 roku.

22 maja 1994 r. po uroczystej Mszy św. koncelebrowanej przez ks. Pawła Deskurę (praprawnuka Bronisława) w kościele parafialnym w Lure, odbył się przemarsz ulicami miasta do dzielnicy „La Pologne” licznej grupy przedstawicieli rodziny – 5 Francuzów i 10 Polaków oraz mieszkańców Lure. Tam w niewielkim malowniczym parku na Placu Polskim (Square de Pologne), Edward Deskur i Mer miasta P. Gilles Roy, po okolicznościowych przemówieniach odsłoniли tablicę pamiątkową o treści:

JAN DESKUR

1778-1850

Polak, który już w wieku 16 lat walczył
przeciwko rozbirowi swojej Ojczyzny,
uwięziony, zostaje siłą wcielony do armii rosyjskiej
W 1814 roku komendant placu w Lure,
ryzykując życiem i karierą sprzeciwia się zamiarom
swoim sprzymierzeńców spalenia i splądrowania miasta

BRONISŁAW DESKUR

1830-1895

Polak, syn Jana

Patriota i demokrat, znosi w swoim majątku pańszczyznę
W 1863 roku organizuje powstanie przeciw Rosji i dowodzi na Podlasiu
By uniknąć zesłania na Sybir emigruje do Francji
W Lure doznaje serdecznego przyjęcia
Po powrocie do kraju walczy nadal o demokrację i niepodległość Polski

RODZINA BRONISŁAWA W PAMIĘCI POTOMNYCH

Moja droga do Deskurowa – Alojzy Skrobcki

Nie jestem historykiem ani też pisarzem, ale pod namową Pana płka Konrada Wróbla, na spotkaniu w Niegowie u Proboszcza, obiecałem, że na tak ważne wydarzenie dla lokalnej społeczności jednak coś napiszę. Wydarzenie to jest ważne, bo chodzi o uroczyste poświęcenie obelisku poświęconego Śp. Bronisława Desкура, dziedzica Deskurowa, uczestnika Powstania Styczniowego. Moje powinowactwo z rodziną Skoczniów – wieloletnich mieszkańców Deskurowa – jest bardzo odległe i z tego wynika tytuł rozdziału. A droga ta jest bardzo długa.

Pochodzę z Radomska, miasta położonego na południowym krańcu historycznego Mazowsza. Deskurow to północno-wschodnia część Mazowsza. Jak się w życiu okazuje to kobiety mają znaczący wpływ na historię rodzin. Moje „dojście” do Skoczniów z Deskurowa to kolejne kobiety tej historii. Idąc dalej po tej linii Kobiety poznałem kolejne rodziny mające swoje związki z Deskurowem.

Pierwsze kroki w stronę Deskurowa

Początek listopada 1964 roku, bal studencki na SGGW w Ursynowie. Jestem na IV roku studiów i „poważną” figurą, bo działaczem Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów. Na balu poznaję młodą studentkę, która jak się później okazało została towarzyszką mojego życia i pierwszym krokiem w kierunku Deskurowa. Panna Halina Palesówna po kilku tygodniach znajomości zaprasza mnie do swoich rodziców. Wyprawa „na wschód” do Mokrej Wsi koło Tłuszcza. Już wkrótce poznaję historię rodziny. Moja przyszła Teściowa Marianna Palesa wywodzi się z Obrębu, z rodziny Michalików, a jej kościołem parafialnym był Niegów. Niegów to również parafia jej mamy – Marianny Michalik z domu Skoczeń, a wieś rodzinna to Deskurow. Pierwszym mieszkańcem Deskurowa, którego poznałem jeszcze przed swoim ślubem był Wiktor Sykulski – brat cioteczny mojej przyszłej Teściowej. Spotkanie niespodziewane, bo w Ursynowie. Dostał mój adres i będąc na zjeździe działaczy

Związku Młodzieży Wiejskiej, odwiedził mnie właśnie w Ursynowie. I w ten sposób krok za krokiem zacząłem poznawać Familię z parafii Niegowskiej, wywodzącą się z Deskurowa.

W kościele w Niegowie po raz pierwszy byłem w 1973 roku z okazji 35. rocznicy ślubu moich Teściów Marianny i Władysława Palesów. Pierwszy kontakt z Deskurowem to wizyta w domu Sykulskich, Wiktorii i Mariana wraz z synem Wiktorem i jego żoną Marią. Dalsze poznawanie Familii zatoczyło duży krąg Mazowsza. Kolejna znajomość to Wiesława Kołakowska z domu Lasocka. Jej Babcia Katarzyna to rodzona siostra Marianny Michalik – Babci mojej Żony.

Powoli w głowie zaczął powstawać chaos. Kolejne poznawane osoby, nowe twarze imiona i nazwiska, a jasne tylko jedno – to odgałęzienia Familii Skoczniów z Deskurowa.

Porządkowanie informacji o Familii

Cechą młodości jest ciekawość, która nie zawsze „prowadzi do piekła”. Ciekawość to niezbędna cecha poznawania, poznawania wszystkiego. Poznajemy przyrodę, ludzi, historię. Osobą o dużej ciekawości jest dr Joanna Chudzian (pracownik naukowy SGGW). Już w wieku szkolnym, przysłuchując się gawędom Dziadków Jana i Czesławy Michalików (z domu Paż z Zabrodzia, Ojciec – wieloletni wójt gminy Zabrodzie) zaczęła wypytывать o szczegóły „a kto to i jaki ma związek z naszą rodziną”. Informacje skrzętnie notowała na kartkach papieru. I tak powoli gromadziła materiały do drzewa genealogicznego Michalików. A ponieważ Prababcia Joanny to Marianna Michalik, więc zaczęła zbierać informacje o Jej Krewnych. W wyniku swej systematycznej pracy wręczyła duży arkusz kartonu jako prezent z okazji 90-lecia urodzin Marianowi Michalikowi – starszemu bratu Dziadka Jana Michalika, który jednocześnie obchodził 60. rocznicę ślubu z Henryką, z domu Kalinowską z Obrębu.

Nasze zjazdy rodzinne

Inicjatorką spotkań rodzinnych „Michalików” przed 2000 rokiem (może w 1996 lub 1997 roku) była Czesława Michalik z Wołomina. Po zakupie działki na skraju lasu w Kicinach i po drugiej stronie łąk obrębskich na wprost go-

spodarstwa Marianny i Jana Michalików w Obrębie. Zaczęło się skromnie od kilkunastu osób, aby z czasem spotkania te ustabilizowały się na poziomie 60-80 osób, a w porywach nawet przekraczały 90 uczestników (w tym również niemowlęta). Przyjmując otwartą formułę uczestniczenia w zjazdach pojawiały się nowe osoby powiązane bezpośrednio lub bardzo pośrednio z rodziną Michalików. A były to osoby: Sykulscy (Deskurów, Stare Pole, Suwałki), Skoczniowie (Deskurów, Kobyłka), Lasoccy (Mystkówiec Szczucin, Mierzęcin), Mitkowscy (Białowieża, Pułtusk), Kołakowscy (Warszawa, Ciechanów), Pankowscy (Deskurów), Gorczyńscy (Wyszków), Paradowscy (Nowy Dwór), Zdunikowie (Zagościniec), Chudzianowie (Wołomin), Skrobaccy (Warszawa), Jakubczykowie (Kawęczyn), Krzyżanowscy (Trojany), Palesowie (Mokra Wieś), Wiesława Kania (Tłuszcz), Trojankowie (Tłuszcz), Matyjaszkowie (Gdynia), Przybyszowie (Gdynia), Michalikowie (Wołomin, Obręb, Warszawa, Kraków, Mokra Wieś, Kanada, Szwajcaria).

Spotkania w Kicinach stały się inspiracją do dwóch zjazdów rodziny Lasockich w Mystkowie (lata 2006 i 2007). W 2007 roku na zjeździe u Lasockich było ponad 60 osób. Na początku 2009 roku pojawiła się informacja, że stary dom Skoczniów w Deskurowie niedługo będzie rozebrany, ze względu na budowę nowego budynku mieszkalnego. Szybka decyzja i zamiast mszy w Kicinach, zamawiamy mszę w Niegowie, by potem złożyć wizytę w starym domu Skoczniów w Deskurowie. Wystąpiły jednak pewne trudności z ówczesnym proboszczem w Niegowie, który dowiadując się o zjeździe rodzinnym związanym z Deskurowem, stwierdził *ex cathedra*, że takie msze w Jego parafii zamawia się z półrocznym wyprzedzeniem. Jednak łaskawie „wyraził zgodę” na koncelebrację „naszego kapelana familijnego” – ks. Jaremy Sykulskiego. Przyczyną nieprzychylnego do nas stosunku był fakt powołania nowej parafii w Lucynowie, do której przypisano Deskurów.

Kościół w Niegowie zawiera materialne ślady swoich parafian związanych z rodziną Skoczniów. Po mszy przeprawa na drugą stronę trasy szybkiego ruchu, na niegowski cmentarz. Mieliśmy wspaniałego przewodnika w osobie Felicjana Skocznia, który oprowadzał nas po cmentarzu niczym po muzeum historycznym. Krótko mówiąc, około jedna trzecia osób pochowanych na tym cmentarzu jest związana z rodziną Skoczniów. Ogromna szkoda, że nikt nie nagrał tych informacji, bo byłyby to znaczny przyczynek do historii Familii Skoczniów.

Następny punkt programu tego zjazdu to wyprawa do Deskurowa. Stary drewniany dom rodzinny Skoczniów, pokryty już nie strzechą, lecz eternitem

wygląda bardzo solidnie. Wjeżdżających na duże podwórze witał wnuk, Felicjan Skoczeń. Rozpoczyna się zwiedzanie chaty, a po nim historyczne zdjęcie wnucząt Jana i Anieli Skoczniów. Jedna z wnuczek po wyjściu z chaty ze łzami w oczach powiedziała „musiałam przysiąc na tóŜku, bo pamiętam, jako małe dziecko siedziałam tam z mamą Katarzyną”.

Największe zjazdy w Kicinach to lata 2012 i 2013. Który z nich był liczniejszy nie wiadomo. Ten zauważalny gołym okiem wzrost liczby uczestników, niewątpliwie wynikał z uaktywnienia się rodziny Sykulskich. Dotychczas bywali stali przedstawiciele w osobach: Marysia Sykulska (Deskurów), Jan Sykulski (Stare Pole) i jego syn ks. Jarema (Suwałki). Symbolem „najazdu” rodziny Sykulskich w 2012 roku był wielki kołacz rodem z Suwałk. Pomimo iż nie byli wszyscy obecni, to jednak stanowili bardzo poważną grupę. Pogoda w 2013 roku była nieco chłodniejsza niż w poprzednim, ale nie odstraszało to Familii, a nasz polowy parking zatłoczony. Towarzystwo rozdyktowane, a że liczne, to zbieranie wszystkich do wspólnego zdjęcia nie było łatwe i dość długo trwało. Nasi fotografowie mocno wytęŜali swoje siły by opanować. Jednak trud nie poszedł na marne, bo i główny fotograf zdąŜył na plan zdjęciowy.

Familia Skoczniów

Dziadkowie **Anna (córka Marianny i Jana Tabor, ur. 1868, zm. 1909) i Jan Skoczniowie (syn Wincentego ze wsi Sitno k. Wyszkowa, ur. 1857, zm. 1927)** przybywają do Deskurowa około 1888 roku. Mieli 5 córek i 2 synów. W tej sytuacji drzewo rodowe mogło się mocno rozkrzewiać. I tak się mocno rozrosło, że trudno zebrać pełne informacje. Gwoli zachowania przejrzystości rodzinnej zestawienie ograniczono do prawnuków.

- Marianna Skoczniówna, 1890 (Michalik)
- Katarzyna Skoczniówna, 1893 (Lasocka)
- Wiktoria Skoczniówna, 1902 (Sykulska)
- Ewa Skoczniówna (Pankowska)
- Anna Skoczniówna (Skoczeń)
- Stanisław Skoczeń, 1905
- Marian Skoczeń, 1906

1. MICHALIKOWIE

[1] Marianna Skoczeń (1890-1974) w 1911 r. wychodzi za wdowca Jana Michalika (1866-1933)

Dzieci: Marian (5.10.1912–22.11.2006); Marianna (16.03.1916–20.02.2000); Jan (14.02.1925)

[2] Marian + Henryka Kalinowska (8.02.1925) biorą ślub w Niegowie 22.11.1942 r.

Dzieci: Mieczysław (10.02.1944); Kazimierz (14.05.1948–25.09.1991); Tadeusz (31.03.1950); Teresa (24.10.1954); Mariana (16.12.1956); Jan (3.09.1958)

[3] Mieczysław + Jadwiga Kostrzewa (2.02.1946–14.02.1989) biorą ślub w Siemianowicach

Dzieci: Jacek (10.11.1971); Piotr (19.04.1973)

[3] Kazimierz + Zofia Dybek (1.09.1951) biorą ślub w Kicinach xx.10.1973 r.

Dzieci: Adam (17.03.1974); Marta (25.12.1978)

[4] Adam + Jolanta Fedorczyk (24.04.1974) biorą ślub w Wołominie w 1997 r.

Dzieci: Kazimierz (26.08.1997)

[3] Tadeusz + Danuta Pietrzykowska (10.10.1952) biorą ślub w Kicinach xx.10.1973 r.

Dzieci: Robert (29.03.1974); Rafał (19.04.1975)

[3] Teresa + Zbigniew Samulak (18.05.1951–22.09.2004) biorą ślub w Kicinach 28.08.1976 r.

Dzieci: Sylwia (23.07.1977)

[3] Marianna + Stanisław Paradowski (18.02.1958) biorą ślub w Żukowie 28.04.1978 r.

Dzieci: Agnieszka (23.05.1980); Maciej (27.05.1982)

[3] Jan + Ewa Suchenek (1.11.1965) biorą ślub w Klembowie 12.11.1983 r.

Dzieci: Barbara (28.12.1983); Alina (27.12.1984); Patryk (6.06.1996); Jakub (1.07.2000)

[2] Jan + Czesława Paż (18.05.1931–9.12.2000) biorą ślub w Niegowie 30.12.1950 r.

Dzieci: Marek Janusz (24.03.1952); Andrzej Tomasz (18.11.1954–6.12.1995)

[3] Marek + Ewa Tobiasz (17.09.1952) biorą ślub w Warszawie 17.09.1974 r.

Dzieci: Arkadiusz Marek (14.10.1976); Zbigniew Janusz (19.06.1982)

[3] Andrzej + Danuta Życińska (29.03.1954) biorą ślub w Wołominie 19.01.1980 r.

Dzieci: Joanna Maria (8.10.1981); Władysław Adam (14.07.1983)

1.1. Palesowie

[2] Mariana + Władysław Palesa (17.11.1906-15.11.1991) biorą ślub w Niegowie 15.08.1938 r.

Dzieci: Adam Edward (8.04.1939), Halina Janina (9.08.1946)

[3] Halina + Alojzy Skrobacki (11.11.1942) biorą ślub w Postoliskach 16.04.1967 r.
Dzieci: Iwona (13.10.1968), Marek (16.07.1974)

[3] Edward + Maria Suchenek (5.05.1950) biorą ślub w Postoliskach 20.04.1971 r.
Dzieci: Sławomir (21.03.1972), Elżbieta Katarzyna (24.09.1979)

2. SYKULSCY

[1] Wiktoria (28.08.1902-28.08.1974) + Marian Sykulski (26.01.1902-30.03.1976) biorą ślub w Niegowie w 1929 r.

Dzieci: JAN (26.12.1929, zapisano 18.01.1930); WIKTOR (23.12.1934, zapisano też w styczniu 1935)

[2] Jan + Kazimiera Maciejewska (1.12.1937) biorą ślub w Lidzbarku 25.12.1960 r.

Dzieci: Aldona (15.07.1962); Jarema (26.06.1963); Magdalena (23.08.1970); Łukasz (20.03.1975)

[3] Aldona + Piotr Matyjaszek (19.03.1964), biorą ślub w Starym Polu 4.08.1990 r.

Dzieci: Maria 2.07.1993, Aniela 6.10.1996

[3] Jarema święcenia kapłańskie 11.06.1988 r.

[3] Magdalena + Jacek Przybysz (30.01.1967), biorą ślub w Gdyni 14.07.2007 r.

Dzieci: Dominik (5.5.2008), Anna (22.11.2009)

[3] Łukasz + Monika Chatys (26.04.1975), biorą ślub w Sosnowcu 21.08.1999 r.

Dzieci: Maksymilian (26.07.2000), Łucja (2.12.2001), Helena (23.04.2006)

[2] Wiktor + Marysia Bajorek (17.12.1940) biorą ślub w Wyszkwowie 22.08.1965 r.

Dzieci: Arek (18.12.1966), Agnieszka (12.04.1971), Tomek (10.09.1976)

3. LASOCCY

[1] Katarzyna (1893) + Jan Lasocki (1885) biorą ślub w Niegowie 1916 r.

Dzieci: Stanisław (23.08.1918 -12.04.2002); Marianna (1920); Stefan (20.02.1923); Józef (26.02. 1925); Jadwiga (21.07.1928.), Zofia (1930 –2.11.1976); Genowefa (5.11.1931–3.01.2010)

[2] Stanisław + Feliksa Zglec (25.03.1923-7.03.2000) biorą ślub w Woli Mystkowskiej 18.01.1947 r.

Dzieci: Teresa (19.01.1949); Maria (2.03.1951); Cecylia (9.05.1954); Zdzisław (29.09.1956)

[3] Teresa + Jerzy Kołakowski (23.10.1948) biorą ślub w Pniewie 25.08.1973 r.

Dzieci: Arkadiusz (14.02.1975); Leszek (3.06.1978); Krzysztof (12.01.1981)

[3] Cecylia + Jan Przybyłowski (14.10.1954) biorą ślub w Pniewie 25.04.1981 r.

Dzieci: Aldona (17. 04.1982); Justyna (30.06.1983); Monika (23.09.1985)

[3] Zdzisław + Bożena Szczerba (24.07.1958) biorą ślub w Woli Mystkowskiej 18.07.1981 r.

Dzieci: Marzena (09.07.1982); Anna (11.01.1984); Katarzyna (15.08.1985); Iwona (7.01.1987); Radosław (15.09.1988)

[2] Stefan + Zofia Drążewska (4.08.1928) biorą ślub w Pniewie 23.04.1950 r.

Dzieci: Wiesława (8.10.1951); Danuta (23.04.1953); Grażyna (26.07.1954); Urszula (9.06.1964)

[3] Wiesława + Józef Kołakowski (15.03.1950) biorą ślub w Pniewie 3.07.1976 r.

Dzieci: Piotr (27.01.1978); Maria (27.11.1988)

[3] Danuta + Stanisław Kowalski (7.05.1953) biorą ślub w Pniewie 23.04.1980 r.

Dzieci: Dominika (21.03.1981)

[3] Grażyna + Stanisław Gorczyński (6.05.1958) biorą ślub w Pniewie 9.06.1979 r.

Dzieci: Katarzyna (15.02.1980); Olga (23.03.1981); Cezary (18.01.1989)

[3] Urszula + Adam Śliwka (..) biorą ślub w Pniewie 24.10.1987 r.

Dzieci: Anna (10.04.1988); Michał (26.09.1989); Maciej (14.05.1992)

[2] Józef + Celina Dworecka (24.07.1934) biorą ślub w Zatorach 1.07.1951 r.

Dzieci: Janusz (22.05.1952); Jerzy (27.06.1954); Wioletta (17.04.1965)

[3] Janusz + Barbara Achcińska (1954) biorą ślub w Przasnyszu 1976 r.

Dzieci: Dagmara (1984); Dawid (1978)

[3] Jurek + Teresa Marczak () biorą ślub w Ciechanowie 1978 r.

Dzieci: Ilona (1984), Iza (1978)

[3] Wioletta + Dariusz Muziński (..) biorą ślub w Ciechanowie 30.07.1988 r.

Dzieci: Martyna, Piotr

[2] Genowefa + Eugeniusz Mitkowski (3.01.1930) biorą ślub w Pniewie w 1955 r.

[3] Grażyna + Wojciech Jarzynka (23.04.1954) biorą ślub w Ciechanowie 3.09.1977 r.

[3] Wojciech + Agata Dłużniewska () biorą ślub w Warszawie 18.06.1981 r.

[2] Jadwiga + Ryszard Mitkowski (27.11.1927) biorą ślub w Pniewie w 1955 r.

[3] Jerzy + Halina Sołtysiak (17.05.1959) biorą ślub w Szwelicach 4.09.1982 r.

[3] Alina +Tadeusz Kowalski (20.01.1954) biorą ślub W PUŁTUSKU 27.08.1983 r.

[2] Marianna + Wacław Grabowski biorą ślub w Pniewie w 1946 r (bezdzieln)

[1] Ewa + Piotr Pankowski biorą ślub w Niegowie, dzieci: Maria, Władysław (1910)

[2] Maria Woźniak, dzieci: Jan

[3] Jan. dzieci: Przemysław. Anna

[2] Władysław + Józefa Wiech (1909)

Dzieci: Janina (1938), Jan (1939), Halina (1941), Wanda (1946), Regina (1953)

[3] Janina Król dzieci: Jan, Zygmunt, Tadeusz, Dorota, Leszek

[3] Jan + Halina Milczarek dzieci: Elżbieta, Marek, Dariusz, Agnieszka, Ewa

[3] Halina + ... Grzegulski dzieci: Konrad

[3] Wanda + ... Krystosiaak dzieci: Grzegorz, Artur

[3] Regina + ... Krzyżewski dzieci: Sylwia, Marcin, Piotr

[2] Stanisław Pankowski dzieci: Janina, Henryk, Maria

[3] Janina + Grześkiewicz dzieci: 4

[3] Henryk dzieci: Katarzyna

[3] **Maria + Dwoiakowski** dzieci: Piotr, Konrad

[2] Jan Pankowski dzieci: Henryk, Janina, Halina, Mieczysław, Celina,
Wiesław. Jan

[3] Henryk dzieci: Paweł

[3] Janina + Kraszewski	dzieci: Robert, Paweł, Sławek
[3] Halina + Jakacy	dzieci: Marek
[3] Mieczysław	dzieci:
[3] Celina + Kisielewski	dzieci: Rafał, Adam, Tomasz, Lidia
[3] Wiesław	dzieci: Michał, Monika
[3] Jan	dzieci: Artur, Krzysztof
[2] Anna + Krzyżanowski	dzieci: Jan, Kazimierz, Tadeusz, Józef, Janina
[2] Marian Pankowski	dzieci: Stanisław, Maria, Regina, Władysław

5. SKOCZNIOWIE

[1] Stanisław Skoczeń (1905) + Marianna (1909) biorą ślub w Niegowie w 1929 r.
Dzieci: Władysław (31.05.1930), Felicjan (1933), Henryka (1937)

[2] Władysław + Zofia Marianna Wojda biorą ślub w Żelechowie 14.09.1958 r.
Dzieci: Grzegorz (23.07.1959), Małgorzata (24.02.1965), Anna Barbara (28.03.1972)

[3] Grzegorz + Jolanta Wrzosek (1985) biorą ślub w Kobyłce
Dzieci: Marta, Agnieszka, Joanna

[3] Małgorzata + Wiktor Cicconi (Włochy) biorą ślub w Kobyłce 15.08.1995 r.
Dzieci: Krystian

[3] Anna + Jarosław Zieliński biorą ślub w Kobyłce 12.08.1998 r.
Dzieci: Katarzyna, Maciej

[2] Felicjan + Zofia biorą ślub w 1966 r.
Dzieci: Wojciech (1968), Jan (1969), Małgorzata (1970), Dorota (1972)

[2] Henryka + Jan Oleksiak (1930-1995) biorą ślub w 1960 r.
Dzieci: Waldemar (1961), Tomasz (1971)

[1] Marian Skoczeń (1906-1956) + Marianna Mościcka (1909-) biorą ślub w Niegowie 15.08.1960 r.
Dzieci: Sabina (1931), Wanda (1932), Marianna (2.08.1934), Stanisław (1939), Lucyna (1945)

[2] Sabina + Czesław Nowak

[2] Marianna + Marian Baranowski biorą ślub w Niegowie 15.08.1960 r.
Dzieci: Renata (24.09.1961), Anna (24.05.1963)

[3] Renata + Andrzej Jadacki (?) biorą ślub w Wyszku 7.09.1985 r.
Dzieci: Katarzyna

[3] Anna + Zbigniew Groszkiewicz (?) biorą ślub w Wyszku 16.04.1987 r.
Dzieci: Anna, Piotr

Podsumowanie

Moje kontakty z Familiją Skoczniów trwają już ponad 50 lat. Poznałem wiele osób, rodzinne historie i legendy. Im bardziej się wgłębiałem w ich życiorysy, tym częściej się zastanawiałem, jak to było możliwe, że z takiej drewnianej chaty Skoczniów w Deskurowie wyszło tak wielu oświeconych i inteligentnych potomków. To zaciekawienie powstało wkrótce po naszym ślubie. Babcia Żony – Marianna Michalik znalazła się w szpitalu w Warszawie. Wizyta jak wizyta i nagle jedna z pacjentek mówi „jaką inteligentną macie Babcię, ona codziennie czyta gazety”. Dzisiaj oświata jest powszechna, ale jak widzimy z kulturą osobistą młodych i dorosłych bywa bardzo różnie. Przenieśmy się na przełom XIX i XX wieku. Dzieci Anny i Jana Skoczniów to roczniki od 1890 do 1906. Lata zaboru rosyjskiego i zbliżająca się I wojna światowa. Jaka była w tym domu atmosfera – nie wiem, ale przypuszczam, że bardzo patriotyczna, wzrastano w szacunku do pracy i zdobywania wiedzy. Okres międzywojenny nie jest łatwy (kryzysy gospodarcze), ale mamy już polskie szkoły i patriotyczną atmosferę budowy wolnej Polski. Mija okupacja i zaczyna się nowa epoka ścigania patriotów i kułaków. Ale mimo tych trudnych lat, można z podziwem patrzeć na znane mi wnuczęta Skoczniów:

- Stanisław Lasocki (1918) ukończył szkołę rolniczą w Gołądkowie,
- Stefan Lasocki (1923) ukończył szkołę rolniczą,
- Józef Lasocki (1925) ukończył technikum telekomunikacji we Wrocławiu i wrócił do Ciechanowa,
- Jan Michalik (1925) ukończył szkołę rolniczą (niemiecką), po wojnie praktykował w pracowni dentystycznej, zdał egzamin na technika stomatologii; wieloletni działacz i prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Medycznej w Warszawie; organizował sieć przychodni na terenie całego Mazowsza,
- Jan Sykułski (1930) ukończył studia we Wrocławiu, wieloletni powiatowy lekarz weterynarii w Starym Polu,
- Władysław Skoczeń (1930) ukończył SGPiS (obecnie SGH w Warszawie) – ekonomista,
- Genowefa Mitkowska (1931) z wykształcenia technik stomatologii,
- Marianna Baranowska (1934) ukończyła liceum ekonomiczne – księgową,
- Wiktor Sykułski (1935) ukończył szkołę rolniczą.



*Przed kościołem w Kicinach w 2002 roku.
Od lewej Jan Michalik, Marian Michalik z żoną Henryką*



*Zjazd w Kicinach w 2006 roku.
Sytuacja Familii bardzo rozwojowa, trzech młodych ojców z niemowlakami*



Zjazd w Kicinach 2007 roku



Zjazd u Lasockich w Mystkówcu i Mierzęcinie w 2007 roku



Dom Jana i Anieli Skoczniów



Prawnuki Jana i Anieli Skoczniów. Od lewej: Felicjan Skoczeń, Marian Baranowski (mąż Marianny), Jan Michalik, Marianna Baranowska z d. Skoczeń, Jadwiga Mitkowska z d. Lasocka, Genowefa Mitkowska z d. Lasocka, Władysław Skoczeń i Jan Sykułski



Tyłu członków Rodziny Sykułskich nigdy nie było



Z wielkim trudem, ale jednak wszyscy się zmieścili

Rodzina Tekli Kozłowskiej Rapackiej–Deskur

Urodziła się w 1799 roku w Mokrzycach w powiecie pułuskim. Była dzieckiem Konstantego Kozłowskiego i Józefy z domu Miecznikowska. W stosunkowo młodym wieku poślubiła Wincentego Rapackiego – ziemianina. Pracowitością i zapobiegliwością doszli wspólnie do dużego majątku. Miała jedno dziecko – córkę Konstancję, którą wydała za Stanisława Deskura. Niedługo potem Tekla owdowiała i zamieszkała razem z córką w Warszawie na ul. Oboźnej 1 w jej domu. Córka Tekli była bezdzietna i odziedziczyła niebawem majątek po zmarłym mężu. To nie był koniec nieszczęść w tej rodzinie. W 1879 roku umiera Konstancja Deskur, pozostawiając matce duży majątek, składający się m.in. z dóbr Ożarów pod Warszawą oraz dóbr Brańszczyk. Wcześniej Tekla była w posiadaniu dóbr Borzęcin. Niedługo po śmierci córki postanawia sprzedać dobra w Ożarowie, z przeznaczeniem środków na następujące cele (nazewnictwo oryginalne):

- na wsparcie rodzin, których dzieci uczęszczają do średnich zakładów naukowych, tudzież do szkół, gdzie obok innych wiadomości wykładane są dzieciom rzemiosła,
- na Kuchnie Tanie, organizowane dla młodzieży poświęcającej się naukom,
- dla zakładów sierot i starców tudzież na Ochrony,
- dla Muzeum Przemysłowego,
- na wspieranie nędzy rzeczywistej,
- na fundusz wieczysty dla przytułku paralityków i na dobudowanie dla nich pomieszczeń nowych,
- na fundusz wieczysty dla Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych,
- na fundusz wieczysty dla tworzącego się Towarzystwa Kasy Przeworności i Pomocy Nauczycieli i Nauczycielek Prywatnych,
- na fundusz wieczysty dla tworzącego się Towarzystwa Kasy Przeworności Szwaczek,
- na rozszerzenie budowli szkoły ogrodniczej,
- na fundusz wieczysty dla przytuliska,
- na fundusz wieczysty dla instytucji jałmużniczej przy kościele św. Kazimierza w Nowym Mieście,
- na dom schronienia starców i służb św. Ducha i Panny Maryi w Nowym Mieście,

- na szpital dzienny,
- na Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych,
- dla przytułków starców i sierot wyznania Ewangelickiego i Mojżeszowego,
- dla Instytutu Moralnej Poprawy Dzieci na Mokotowie,
- na szpital dla chorych płucowych w Mieni.

Ze sprzedaży dóbr w Brańszczyku postanowiła sfinansować „rozszerzenie obecnego lub wybudowanie nowego” kościoła dla parafii św. Barbary w Warszawie. Tekla Rapacka, po dokonanych darowiznach zaczęła otrzymywać od bliskich, a także od obcych różnej wielkości fundusze, które wraz z pozostałym swoim majątkiem również przeznaczała na cele dobroczynne. Powszechna była opinia, że Tekla Rapacka „spełniała cnotę dla cnoty samej, dla rozkoszy moralnej, jakiej ona jest źródłem, nie zaś dla rozgłosu i zadowolenia miłości własnej. (...) Działalność jej była szczerą, naturalną, daleką od fałszywej skromności, zarówno jak od pragnienia rozgłosu”. Zmarła 12 stycznia 1883 roku w Warszawie, przeżywszy 84 lata.



W Brańszczyku w posiadłości Tekli Kozłowskiej Rapackiej–Deskur mieścił się szpital powstańczy w budynkach dworu

Następne pokolenia to cała „armia” ludzi wykształconych: inżynierów, magistrów i doktorów różnorodnych specjalności. Przytoczę 3 przykłady zaangażowania społecznego osób ściśle związanych z potomkami Anny i Jana Skoczniów.

Halina Skrobacka (1946) z domu Palesa. Wieloletnia redaktor wydawnictw (PWRiL, Wydawnictwo SGGW), organizuje grupę profesorów SGGW i zakłada czasopismo „Wieś Jutra” (1998). Czasopismo adresowane jest do ośrodków doradztwa rolniczego i szkół rolniczych (średnich), autorami publikacji są pracownicy instytutów naukowych i wyższych uczelni.

Danuta Michalik (1954) z domu Życińska, znajduje pamiątki rodzinne Wodiczków. Każdą wolną chwilę poświęca na zabezpieczenie uratowanych pamiątek, porządkowanie oraz nawiązywaniu kontaktów i współpracę z potomkami Wodiczków. W 2011 roku otwiera Izbę Pamięci poświęconą Rodzinie Wodiczków w Wołominie. Wraz z grupą przyjaciół rozpoczyna szeroką działalność kulturalną, tj. spotkania muzyczne, lekcje muzealne, spotkania z cyklu „Podróże Wołominiaków” i „Spotkania z przyrodą”. W 2015 roku zakłada fundację „Oda”, która umożliwia zwiększenia działań środowiskowych Izby.

Ks. Jarema Sykulski (1963) – moderator miasta Suwałki, Kanclerz Wyższej Szkoły Suwalsko-Mazurskiej, animator różnych działań religijnych i społecznych (m.in. Diecezjalne Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, Prezes Fundacji „Żyć... Nie umierać”).

Nie wiem w jaki sposób założyciel wsi Deskurów Bronisław Deskur przekazał swój ideał obywatelski, wynikający z dewizy „Bóg, Honor, Ojczyzna”, włościanom Deskurowa, ale efekty tego oddziaływania są widoczne.

Rodzina Pankowskich

Kilkakrotnie w tej książce pojawia się nazwisko porucznika Związku Piłsudczyków Wiesława Pankowskiego. Wiesław z pozoru niepokąźny, ma w sobie wiele inspiracji i spokoju w pokonywaniu przeszkód. Potrafi swoim spokojem i życzliwością zaszczepić chęć działania w całej swojej Rodzinie. Syn Michał Pankowski zabrał się do pracy przy budowie fundamentu pod tablicę pamiątkową, bracia Wiesława: Jan i Mieczysław Pankowscy użyczyli placu pod budowę. Trzeba dodać, że Wiesław uległ wypadkowi i sterował działaniami całej rodziny z łóżka szpitalnego. Tym większe uznanie mu się należy. Dzięki Wiesławowi nawiązano kontakty z liczną dalszą jego rodziną, dlatego możliwy był udział w naszym przedsięwzięciu profesora Alojzego Skrobackiego. Zaowocowało to artykułem „Moja droga do Deskurowa” i chęcią pomocy w wydaniu książki.

Sądzę, że nad naszą pracą czuwał dobry duch majora Bronisława Deskura i jego słowa zawarte w pamiętnikach zostały przekute w czyn: „Postępując roztropnie, winniśmy dać mienie i krew naszą na pożytek i ofiarę społeczeństwa, którego stanowicie ogniwo, tego domaga się od was miłość, którą powinniście dochować ziemi, na której zrodziliście się, gdzie kości przodków naszych spoczywają a pamięć ich świeci wam dobrym przykładem. Wierzajcie mi, że człowiek bez ideału, człowiek, który kochać i poświęcać się dla drugich w potrzebie nie potrafi, to martwe ciało, w którym dusza śpi, a życie tylko zwierzęce; taki człowiek to pasożyt, to polip na zdrowym ciele narodu, i który usunąć należy, aby nie gnoić zdrowych soków społeczeństwa naszego”.

Ze względu na ogrom prac i zaangażowania zasadnym się wydaje przekazanie opieki nad tablicą dzieciom i wnukom Rodziny Pankowskich. Bo Bronisław Deskur z pewnością wszystkich pierwszych mieszkańców Deskurowa i ich potomnych traktowałby jak swoich wnuków. Dlatego płytę pamiątkową oddajemy pod szczególną opiekę wnukom Wiesława Pankowskiego i jego żony Hanny: Michałowi Pankowskiemu i jego żonie Bożenie oraz córkom Alicji i Gabrysi, córce Monice z mężem Mirosławem i dzieciom Weronice i Szymonowi oraz synowi Jana Pankowskiego Arturowi. Wierzimy głęboko, że wszyscy mieszkańcy Deskurowa będą dumni z faktu poznania historii tej miejscowości i w rocznicę świąt państwowych, a szczególnie Powstania Styczniowego będą zapalać znicze oddając hołd swojemu Dobroczyncy majorowi Bronisławowi Deskurowi w myśl hasła „Solidarność jest podstawą naszego współistnienia” umieszczonego na pomniku ojca Jana i syna Bronisława Deskurów w Lure.

Przykłady oręża z czasów Powstania Styczniowego (ze zbiorów prywatnych)





1. Szaszka kozacka; 2. Kama bizantyjska; 3. Szpada walońska; 4. Kindżał kozacki



Szabla powstańcza („Boże Zbaw Polskę”)



Prochownice (zbliżenie)



1. Pistolet skałkowy; 2. Szabla powstańcza („Boże zbaw Polskę”);
3. Pistolet skałkowy; 4. Pistolet skałkowy; 5. Pistolet kapiszonowy;
6. Kordelas myśliwski używany w powstaniu styczniowym



Ryngraf powstańczy



*Krzyż powstańczy nadawany
weteranom Powstania
Styczniowego przez
Marszałka Józefa Piłsudskiego w
70. rocznicę wybuchu powstania*



*Odznaka Sołtysa z 1864 roku nadawana przez Czar (awers i rewers).
W ten sposób Car chciał zjednać sobie sołtysów nadając im rangę urzędników carskich*

ZAKOŃCZENIE

Major Bronisław Deskur był człowiekiem bezwzględny wobec zdrajców – Polaków działających na rzecz rosyjskiego zaborcy. Nie żałuje dowódcy rosyjskiej żandarmerii z Ostrołęki, mjr. Denisiewicza, również braci Puchałów Cywińskich oraz młodego chłopaka, szpiega rosyjskiego. Cenił odwagę na polu walki, ale ganił zaniedbania, brak przezorności i właściwego dowodzenia w czasie walk powstańczych. Surowej ocenie poddał działania płk. Karola Fryczego w bitwie pod Łączką (Uroczysko Bykowce).

„Lasocki, żołnierz z kampanii węgierskiej 1848 r., który był w sztabie Fryczego i ja, zwracaliśmy Fryczemu uwagę na konieczną potrzebę opasania łańcuchem wedet obozu, bo choćby Moskali szpieg nie prowadził, to za śladami Dąbkowskiego po piaskach ostrołęckich trafi do naszego obozu; następnie proponowaliśmy aby będąc w tak dobrej pozycji, którą przyjął, obstawiliśmy odpowiednie punkta poza błotem – nie zdołało to jednak przekonać Fryczego, utrzymywał, że Moskale do nas nie trafią. Wysłałem ja wszakże moich kawalerzystów na dość odległe wedety za błota i tak noc spokojnie przeszła. Nadedniem kazałem konie pokulbaczyć i przy koniach spoczywać. Frycze, jakkolwiek wiedział od kuriera, że Moskale idą, kazał zabić wołu i kotły nastawić, zostawiając zupełną swobodę żołnierzom. W obozie śmiał się z mojej przezorności, a tem samem dał mi do zrozumienia, że mam stracha, ja zaś utrzymywałem, że koni nie mam do stracenia, aby je w błocie zostawić, jak mi zamkną drogę jedyną, którą wyjść mogę z tego więzienia” (Bronisław Deskur, *Dla moich wnuków*, s. 59). Potrafił widzieć w płk. Frycze żołnierza nadzwyczajnej odwagi: „Jeżeli grzeszył czem Frycz, to tylko brawurą swoją, bo nadzwyczajnej był to odwagi człowiek” (jw., s. 61).

Bronisław Deskur widział wielkie oddanie sprawie powstania mieszkańców Puszczy: „Wyszliliśmy z Grządkki w 200 przeszło ludzi (gdyby była broń cała ludność kurpiowska stanęłaby pod bronią, nie trzeba było jej werbować)”.

W swojej pamięci major zachował słowa wójta ze wsi Grządkka, stacjonował tu pułk Ignacego Mystkowskiego i był utrzymywany przez mieszkańców. Płk I. Mystkowski chciał zapłacić za wyżywienie żołnierzy. Gdy wójt wioski dowiedział się, że płk I. Mystkowski chce zapłacić za wyżywienie z oburzeniem odpowiedział: „Cóż to chcecie nam płacić, czy to nie nasz obowiązek dzieci

własne życie, czy my nie tacy Polacy jak wy, żebyśmy mieli brać pieniądze za marna strawę, kiedy wy życie dajecie dla Polski?”.

Podobne wspomnienia możemy znaleźć w pamiętnikach Łukasza Podbielskiego, który urodził się na Kurpiach i całe powstanie tam przeżył. Major potępiał bestialskie zachowanie żołdaków carskich pastwiących się nad rannymi powstańcami: „Nad rannymi Moskwa okrutnie się pastwiła. Znaleźliśmy na pobojowisku naszego żołnierza od kosynierów, akademika z Warszawy, z wyłupionymi bagnetem oczyma z oberżniętym językiem, uszami i innymi częściami ciała”.

Jakże inaczej postępowali powstańcy z rannymi żołdatami rosyjskimi: „Kilkunastu rannych żołnierzy moskiewskich opatrzył nasz lekarz (jeszcze zanim swoich rannych obejrzał) i na furmankach odesłaliśmy ich do ostrołęki Moskalom” (jw., s. 55).

Mimo wielu przykrych wojennych doświadczeń, mjr Deskur był człowiekiem wrażliwym na cierpienie innych żołnierzy. Obserwując cierpienia zdrowotne (częste krwotoki) płk. Heidenreicha („Kruka”) zdecydował się na napisanie listu do Awejdji – członka rządu powstańczego (nie licząc się z konsekwencjami), donosząc mu: „że przez dłuższy czas znajduje się z pułkownikiem Heidenreichem, zauważyłem, iż cierpienie fizyczne, jakiemu podlega Heidenreich, odejmuje mu siły i energię, której wymaga stanowisko, które zajmuje, zatem niech zechce temu zaradzić, zwłaszcza, że o to upominają się obywatele województwa, wreszcie, że kilka miesięcy po bitwie pod Łączką obejmuje dowództwo nad oddziałem jazdy, sformowanym przez płk. Heidenreicha ps. „Kruk” w powiecie łukowskim”.

W końcu czerwca 1863 rpk mjr Deskur objął dowództwo nad kawalerią, liczącą 130 kawalerzystów. Walczy w bitwie między Kaniowolą czy Konowolą a Nadrybiem, bitwie nieszczęśliwie dowodzonej, kawaleria mjr. Deskura mimo niesprzyjającego terenu dla konnicy skutecznie walczy z Kozakami. Po kilku tygodniach zostaje wysłany przez generała „Kruka” do Galicji z rozkazem sformułowania lotnego dywizjonu Strzelców Konnych. Na rzecz tego przedsięwzięcia gen. „Kruk” przekazał mjr. Deskurowi 30 000 rubli zdobytych pod Żyrzynem.

Kończy się wojaczka mjr. Bronisława Deskura, a zaczyna się rozłąka z rodziną i smutny los emigranta. Pozostaje tęsknota za ojczystym krajem i świadomość ciężkiego położenia żony i małych dzieci po stracie majątku Horostyta.

Po wyjeździe do Galicji w Krakowie spotkał się z płk. Trauguttem. Miał przekazać posiadane pieniądze (30 000 rubli) płk. Trauguttowi. Nie zdążył pieniędzy przekazać, gdyż Traugutt pośpiesznie wyjechał z Krakowa. Posiadane pieniądze mjr Deskur przekazał za pokwitowaniem gen. Heidenreichowi („Krukowi”), za które zostały zakupione działa górskie. Po 8 miesiącach rozłąki od żony dowiedział się ile nieszczęść spadło na żonę i czwórkę jego małych dzieci.

Marszałek Józef Piłsudski na jednym ze spotkań z weteranami powstania styczniowego powiedział: „powstanie dało Ojczyźnie wielki dar... powstanie dało nam chłopą obywatela”, a przecież nie zawsze Ojczyzna dla polskiego chłopą była matką. W czasie tego spotkania wspominał marszałek bohaterskich chłopów z Nagoszewa, którzy w czasie bitwy pod Nagoszewem spalili własne zabudowania. W ten sposób wykurzyli kryjących się po chłopskich chałupach żołdatów rosyjskich. Część ukrywających się Moskali spaliło się żywcem w płonących zabudowaniach.

Według Sylwestra Szklarskiego w książce pt. *Partyzantka w Puszczy Białej w Powstaniu Styczniowym* (1981, s. 2): „Żołnierze rosyjscy w panicznej ucieczce szukali schronienia w zagrodach chłopskich w Nagoszewie, wówczas chłopci aby ułatwić walkę powstańcom podpalili własne domy (np. Kozioł, Stelmaszczykowie, Sobieski). Polscy chłopci opowiadali się za Polską”.



*Weterani powstania styczniowego z wizytą u marszałka Józefa Piłsudskiego,
22 września 1922 r.*

Polscy włościanie w wielu przypadkach cenili bardziej dobro Ojczyzny niż dobro swojej rodziny. Po odzyskaniu niepodległości Józef Piłsudski rzucił hasło mając w pamięci oddanie obywateli dla dobra wspólnego: „Jest Polska i są obowiązki wobec Polski”. Wierzył w to, że u zarania naszej niepodległości jest możliwość zbudowania sprawiedliwej Ojczyzny dla wszystkich przy udziale ogółu społeczeństwa.

Major Bronisław Deskur w swoich pamiętnikach podaje przykłady zmiany zachowań włościan na Podlasiu w latach 1860–1865 (Bronisław Deskur, *Dla moich wnuków*, Włodawa 2013, s. 22, wyd. Muzeum Łęczyńsko-Włodawskie).

„W kółkach młodych a gorętszych obywateli, posiadaczy większej własności, postanowiono w Warszawie, że wszyscy po powrocie do domu z posiedzenia Towarzystwa Rolniczego zwołamy gromady włościan i ogłosimy uwolnienie od pańszczyzny. Tak też się stało 3 marca 1861 roku. Do zwołanych z mego majątku włościan przemówiłem jak potrafiłem najserdeczniej, mniej więcej w te słowa: bracia kochani! od dziś panowie zebrani na zjazd w Warszawie, jednoznacznie postanowili znieść pańszczyznę na zawsze, zwracamy wam na własność ziemię, którą posiadacie, a która się wam od dawna należy, pracą i trudem waszym zdobyta, że zaś sprawiedliwość nie została wam dotąd wymierzona przyczyną tego jest rząd obcy, który do tego nie dopuszczał, a od którego dotąd wszystko zależało. Wielu z tych panów, którzy się ośmielili bez wiedzy rządu oddać włościanom grunta na własność wywieziono na Sybir. Dziś wszystkich nie wywiozą, bo mieli sposobność zebrać i zgodzić się na równoczesne uwłaszczenie włościan, czy rząd zatwierdzi to postanowienie dziedziców lub nie, to zaręczyć wam mogę, że na pańszczyznę wołać was więcej nie będę, jeśli potraficie bronić praw swoich i nie dopuścić, aby się ktoś trzeci w nasze sprawy mieszał. Jakież było moje zdziwienie i żal kiedy otrzymałem odpowiedź: „Proszę Pana, niech lepiej będzie tak jak było dotąd”.

W trakcie działań powstańczych rośnie świadomość walki o wspólną sprawę Polaków i Rusinów. „Zebranie ludu jedno z najliczniejszych było w dniu Św. Józafata, którego ciało spoczywało u oo. Bazylianów w Białej na Podlasiu (jak wiadomo zamordowanego przez Moskali). Sześć tysięcy włościan Rusinów i Polaków było zgromadzonych, manifestując przez usta kapłanów Rusinów i Polaków, serdeczny, bratni węzeł, jaki ich łączył w obronie praw obu tych szczepów, stanowiących jedną całość Rzeczypospolitej. Kazania i przemowy odbywały się w cieniu wspaniałych lip, okalających klasztor bazylianów. Lud ruski i polski łzami oblewał grób Św. Męczennika za wiarę unicką ruską. Ciało Św. Józafata podczas prześladowania unii na Podlasiu kilka lat temu Moskale

po kryjomu w nocy zabrali nie wiadomo co z nim zrobili. Jak również wiele kosztownych wot złożonych na ołtarzu Świętego (...).

Pomiędzy księży obrządku tacińskiego wyróżniali się dwaj księża pijarzy z Łukowa, Brzózka, późniejszy naczelnik oddziału powieszony przez Moskali i Adam Słotwiński. Ks. Grzegorzówka i Likendorf, dominikanin, obydwaj ostatni później kapłani w oddziałach powstańczych. Grzegorzówka poległ w oddziale Lelewela Borelowskiego” (jw., s. 25).

Krytycznie odnosi się do zmiennej postawy hr. Andrzeja Zamojskiego: „organizacja Pana Andrzeja trwała trzy tygodnie. Czy Pan Zamojski nie znał swej siły, czy też uląkł się wielkości zadanie, jakie miał do spełnienia, trudno zrozumieć, to tylko pewna, że gdy stanął na czele ruchu narodowego powstałby cały naród jak jeden mąż. Usunięcie się zatem od czynu pana zamojskiego pomimo całych jego zasług, jest nie do darowania i nie da się niczym innym wytłumaczyć, jak tylko słabością charakteru tego człowieka” (jw. s. 29). A w Powstaniu zwyciężali ludzie o silnych charakterach, odporni na niepowodzenia, taki charakter i chęć walki do końcowego zwycięstwa miał niewątpliwie Bronisław Deskur.

Pod wpływem szczytnych ideałów bratania się szlachty z ludem, zawiązują się węzły przyjaźni, które tak przedstawia mjr Deskur: „Większość szlachty, występującej pojedynczo w zbliżeniu się do ludzi, aż do przesady posuwało swą serdeczność nie opuszczała najmniejszej sposobności zmanifestowania szczerości swych uczuć. Gdzie się panu w tym czasie urodziło dziecię, włościanie byli proszeni w kumy, przy tej sposobności uczutowano razem za pańskim stołem, wynętrzano się wzajemnie. Ta gwałtowna zmiana z chłodnej obojętności na gorącą miłość i czułość dla ludu dawała trochę do myślenia włościanom z natury podejrzliwym, jakkolwiek ze strony szlachty był to poryw uczciwy i najszczerzy” (jw. s. 34).

Włościanie potrafili odpłacić szlachcie szczere uczucia do włościan. Owocowały te uczucia szczególnie w okresie prześladowań po powstaniu styczniowym. Przykłady przyjaźni i pomocy doznała również rodzin Bronisława Deskura.

„Brat mojej żony, Ignacy Bobrownicki, powróciwszy w pięć lat po powstaniu z zagranicy do kraju, został uwięziony. Majątek będąc w administracji rządowej, był zniszczony zupełnie. Inwentarzy żadnych nie było. Pola nieobsiane leżały odłogiem. Włościanie Bystra, majątku, w którym mieszkali, dowiedziawszy się o jego powrocie i uwięzieniu, w kilkunastu przyjechali

do Grodna, do gubernatora i poręczyli swoją osobą i imieniem, prosząc aby go wypuszczono, na co gubernator się zgodził. Kiedy zaś został uwolniony, wzięli go z sobą do domu i serdecznie pomagali w administracji zwróconego mu majątku. Było to w porze wiosennej, gromada wysłał swoje pług, zaorała pole dworskie, zasiała swym ziarnem, następnie siano i zboże zebrała i zwiózła do folwarku, a na koniec, zebrawszy 1.000 rubli między sobą przyniosła Bobrownickiemu i ofiarowała na zagospodarowanie. To fakt niezaprzeczalny, wiele podobnych znam jeszcze. Ja sam, a raczej zona moja uratowała to tylko, co dała włościanom do przechowania. Stadninę miałem dość ładną, włościanie rozebrali ją między siebie i ani jedna sztuka nie przepadła, za granicą na emigrację odsyłali mi jeszcze pieniądze za sprzedane konie. Zaczny ten lud nasz, za najmniejszą życzliwość, okazaną mu, odpłaci całą szczerością swego serca, które trzeba znać aby je potrafić ocenić” (jw. s. 35).

Wiele pomników uświetniło postać mjr Bronisława Deskura. My czynimy to w dniu dzisiejszym (26 czerwca 2016 r.). Mamy świadomość, że powinniśmy uczynić to znacznie wcześniej, gdyż społeczność nasza ma ogromne zobowiązania wobec majora Deskura. Przykładem niech będą rodziny opisane w tej książce, które dzięki pomocy w postaci darowizny ziemi, pięły się po szczeblach kariery, a ich członkowie uzyskali wysoką pozycję społeczną, odegrali istotną rolę na polu medycyny, rolnictwa i administracji państwowej.



Zagroda wiejska z czasów Powstania Styczniowego w okolicy Deskurowa



*Kościół Parafialny św. Jana Chrzciciela w Brańszczyku z 1833 roku
(widok od strony rzeki)*

